



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Arkadiusz Henszel

Z Bugaju na Ziemie Zachodnie

Oczekiwanie na wojnę

W 1939 roku ukończyłem pierwszą klasę szkoły powszechnej numer 4 w Warszawie. Szkoła mieściła się przy ulicy Barokowej, na skraju parku Krasińskich. Był to nowoczesny gmach wybudowany prawdopodobnie w 1937 roku. Jej kierownikiem był znajomy (z okresu legionowego) mojego dziadka Stanisława Narkiewicza. Dziadek zmarł we wrześniu 1932 roku, ale babcia Magdalena utrzymywała z panem Piątkowskim, bo tak nazywał się kierownik, kontakty. Mieszkaliśmy wtedy na Kamiennych Schodkach nr 10, babcia zaś na Bugaju pod 19. Większość swego dzieciennego życia w tym czasie spędziłem u babci.

Mój rejon szkolny to szkoła przy ulicy Starej na Nowym Mieście. Według mojej babci chodziły tam dzieci staromiejskiej biedoty zamieszkującej ulice Bugaj, Brzozową, Mostową, Rybaki, częściowo Freta, Franciszkańską i inne ulice tamtego rejonu. Szkoła na Starej cieszyła się złą sławą. Nie miała sukcesów ani wychowawczych, ani dydaktycznych. Dlatego też babcia postanowiła, aby jej pierwszy wnuk chodził do lepszej szkoły. Miałem granatowy mundur i czapkę, granatową rogatywkę ze złotym sznurem nad daszkiem i umieszczoną po lewej stronie cyfrą „4”. W porównaniu do moich kolegów z ulicy wyglądałem co najmniej jak dziecko średnio zamożnego pracownika państwowego. W rzeczywistości byłem synem bezrobotnego zduna, który wraz z trojgiem dzieci zajmował jednopokojowe mieszkanie i nie zawsze zdobywał coś do jedzenia.

Mój wygląd był dziełem prawie całej rodziny, a zwłaszcza ciotek i przede wszystkim babci, która nie pozwoliłaby, aby jej wnuczek do „ekskluzywnej” szkoły chodził obdarty i bosi tak jak jego koledzy ze szkoły przy ulicy Starej.

Swoją nauczycielkę i jednocześnie wychowawczynię pamiętam doskonale. Nie wspomnę jednak jej nazwiska, ponieważ zachowałem ją w złej pamięci. Ona też nie darzyła mnie sympatią. Uwielbiała dzieci mądre, czyste i zamożnych rodziców. Protekcja pana Piątkowskiego niewiele dla niej znaczyła. Nigdy nie miała dla mnie ciepłego spojrzenia i dobrego słowa. Za najmniejsze przewinienie stosowała dotkliwie kary fizyczne, tzw. łapówkę (piórnikiem w otwartą dłoń) lub głodowe. Pamiętam ją jak dziś, chodzącą po klasie między rzędami ławek z bloczkiem na dożywianie w ręku. Każdy, kto dostał bloczek na drugie śniadanie lub obiad, dostawał go za coś. Ja nieczęsto sobie na drugie śniadanie zasługiwałem. Najczęściej jej argumentem było: „Henszel nie dostanie, bo zrobił kleksa” lub „Henszel jest flejtuch, bo ma brudne od atramentu palce”, „Henszel nie umie przeczytać czytanki...”, „...nie

nauczył się wiersza...”, „...wylał atrament”, „...nie ma zeszytu”. Takich jak ja było w klasie jeszcze dwóch lub trzech. Dziś przypuszczam, że jej stosunek uczuciowy do mnie jako ucznia negatywnie wpłynął na moją postawę wobec szkoły i nauki, zwłaszcza w pierwszych latach edukacji.

O możliwości wybuchu wojny mówiło się u nas w domu. Wujkowie i rodzice w czasie wspólnych wieczorów opowiadali o wojnie (I wojnie światowej). Siedziałem na kufrze obok drzwi i słuchałem. Mówili o bombardowaniach artyleryjskich, o użyciu gazów trujących, o walkach na bagnety. Syn sąsiadki, Włodek Sulak, który na jesieni 1938 roku powrócił z wojska, demonstrował różne ćwiczenia z szermierki karabinowej.

Z opowieści wiało grozą i okrucieństwem. Wspominano, kto z wojny powrócił okaleczony, a kto cały. Wspominano euforię rozbrajania Niemców w 1918 roku i postawę ludzi wobec zagrożenia Warszawy w wojnie polsko-rosyjskiej w 1920 roku. Przeklinano Piłsudskiego za przewrót majowy. Okazało się, że wśród ofiar byli liczni znajomi mojej rodziny, a zwłaszcza wujka Stefana Zuchowicza – męża ciotki Jani – rodzonej siostry mojej matki.

W szkole zaczęto uczyć nas samoobrony. Wyjaśniono nam, co to jest gaz, jak go rozpoznać i jak się przed nim bronić. Na jednej z lekcji robiliśmy tak zwane tampony czyli maseczki przeciwgazowe. Tampon był zrobiony z waty i gazy. Miał cztery troki do zawiązywania wokół głowy. Nosiło się go w pudełku. Ja wykorzystałem do tego celu metalowe pudełko po papierosach „mewa”. Były to okrągłe pojemniki mieszczące 100 sztuk pachnących papierosów. Przymocowałem do niego tasiemkę tak, aby można go było nosić przez ramię. Pamiętam, że za ten twór zostałem nagrodzony przez „panią” talonem na drugie śniadanie. Gdy każdy miał już swój tampon, to wprawialiśmy się w szybkim zakładaniu go na nos tak, by zasłaniał usta i nos. Po kilku takich treningach byliśmy przekonani, że żaden niemiecki gaz nic nam nie zrobi.

Zawsze w poniedziałek cała szkoła zbierała się w sali gimnastycznej. Siedzieliśmy klasami na parkiecie (po turecku) i słuchaliśmy przemówień. Kilka poniedziałków poświęconych było nauce rozpoznawania sygnałów alarmowych. Pamiętam, że na jednym z ostatnich przed wakacjami spotkań pan Piątkowski mówił o dywersantach. Wyrobiło się we mnie przekonanie, że dywersanci kryją się za każdym drewnianym parkanem. Dlatego nie należy budować parkanów zwartych, tylko ze sztachet, tak aby było widać, kto za płotem siedzi.

Do szkoły chodziłem z Bugaja 19 ulicami Mostową i Długą, przecinając po drodze Freta i Miodową. Na „baniach”, tak nazywano okrągłe słupy do rozwieszania plakatów, pojawiały się co jakiś czas różne plakaty. Oglądałem te, na których były jakieś rysunki... Pamiętam plakat z wizerunkiem marszałka Rydza-Śmigłego i napis „Silni – zwarci – gotowi”. Były też plakaty, zachęcające do dawania pieniędzy na zakup broni dla wojska. W szkole były organizowane zbiórki pieniędzy na ten cel. Pamiętam, że po takiej zbiórce też dostałem talon na drugie śniadanie. Nie przypominam sobie, czy uczestniczyłem przy przekazywaniu jakiegoś sprzętu wojsku. Dla mnie wojsko to batalion ochrony zamku królewskiego, stacjonujący na ulicy Bugaj. Co niedziela w szyku zwartym żołnierze z orkiestrą maszerowali do kościoła garnizonowego przy ulicy Długiej. Czasami śpiewali piosenki. Byli jacyś wielcy. Musiałem zadziierać głowę, żeby zobaczyć ich czapki. W arkadach zamku stało kilka armat kalibru 44 mm. Czasami udało mi się podejść i zobaczyć z bliska te wypieszczone przez kanonierów cacka. Od czasu do czasu armaty ciągnięte przez cztery konie jechały z żołnierzami pod mury Cytadeli warszawskiej od strony Wisły i tam prowadzono treningi w strzelaniu do czołgów. Makieta czołgu wykonana z dykty na płozach poruszana była przez dwóch żołnierzy, którzy nawijając sznurki na szpule, powodowali ruch makiety raz w lewo, raz w prawo. Żołnierze celując strzelali do niej ze sprzężonego z lufą karabinka małokalibrowego. Gdy trafili, to makieta się przewracała. Było też słycać okrzyki radości strzelających. Oglądałem to strzelanie kilkanaście razy, okrzyków radości z trafienia było niewiele.

Zachwycało mnie ówczesne wojsko swoją malowniczością. Piechota, ułani, szabla i lanca. Uważałem, że szabla można zwyciężyć wszystko, a mają jeszcze miotacz ognia i gdzieś z jakiejś dziury oblewać wroga żywym ogniem... Widziałem się w marzeniach dziecka niezwykłym. O samolotach nie miałem wyrobionego zdania. Natomiast czołg zrobił na mnie wielkie wrażenie swoim ogromem, rykiem silników i chrzęstem gąsienic. Raz taki jeden zaplątał się na ulicy Freta i przy wlocie w Mostową, naprzeciwko kościoła, robił zwrot. Wracalem wtedy ze szkoły. Huk i dym, lufy karabinów maszynowych i siedzący w wieżycze żołnierz budziły mój podziw i wzmagaly przekonanie o niezwykłości. Szabla, miotacz ognia i czołg. Po latach przekonałem się, że w wojnie 1939 roku z tych trzech rodzajów broni najwięcej mieliśmy szabel. Miotacze ognia były w niewielkiej ilości, a czołgów nie starczyłoby nawet na lekarstwo.

Jednak myśli o wojnie nie zaprzętały mi głowy. Były wakacje. Chodziłem z ojcem na nocne i dzienne łowienie ryb pod most kolejowy po drugiej stronie Wisły, przesiadywałem nad wodą i przyglądałem się pracy piaskarzy, wydobywających piasek z dna rzeki specjalnymi czerpakami. Wysypywali go na dno dużej, drewnianej łodzi zwanej batem i po przybyciu do brzegu wyrzucali go na tarasy specjalnymi drewnianymi szuflami. Znałem tych piaskarzy. Niektórzy z nich mieszkali na Rybakach i byli znajomymi ojca. Była to naprawdę ciężka praca.

Na początku sierpnia 1939 roku wyjechałem z wujkiem Stefanem Żuchowiczem na tzw. wywczasy do Wieliszewa koło Legionowa. Jechaliśmy z Dworca Wileńskiego. Stacja Wieliszew tonęła w piasku. Kilka domów i lasy. Piaszczyste drogi, wysokie sosny i bezludzie. Poznawałem okolicę, chodząc po leśnych drózkach. Mrowiska, żaby, ważki, zaskrońce. Czasami sarna i ślady po dzikach. Poza tym bezludzie. Była piękna pogoda. Ciotki się opalały, a w przerwach gotowały. Było fajnie. W połowie sierpnia zaczęto mówić o powrocie do domu. Mieliśmy wracać ostatniego dnia miesiąca. Gdzieś 20 sierpnia zjawił się na lotnisku jeden z moich wujków. Przywiózł jakieś gazety i straszną wiadomość: Za kilka dni wybuchnie wojna. Musicie natychmiast wracać do Warszawy. Musimy się do niej przygotować. Zwinęliśmy się szybko i następnego dnia byliśmy w Warszawie. Zapytałem babcię, jak mamy przygotować się do wojny. Babcia odrzekła, że musimy zrobić zapasy żywności na czas wojny. Któregoś dnia babcia powiedziała mi, że idziemy kupić zapasy. Poszliśmy. Ja miałem pomagać w noszeniu! Nastawiałem się na wielkie zakupy. Tymczasem babcia chodziła od jednego do drugiego sklepu na Mostowej i Freta, ale nic nie kupowała. Wracając wstąpiła do sklepu z warzywami i kupiła wielką głowę kapusty. Byłem zdziwiony, że tylko ta kapusta ma starczyć nam na całą wojnę. Zapytałem o to babcię, ale ona tylko machnęła ręką.

W tej sytuacji szykowałem się do pójścia do szkoły w dniu 1 września. Już drugoklasista. Babcia odprasowała mi mundurek i wszystko było gotowe. Rano pierwszego września zrobił się jakiś ruch. Nie wiedziałem, co się dzieje. Rodzina zebrała się przy radiu słuchawkowym. Słuchawki położono na talerzu, żeby głos było lepiej słycać. Babcia powiedziała, że do szkoły nie pójde. Wybuchła wojna.

Wrzesień 1939 roku

Osobiście bałem się wojny. Opowieści o jej okrucieństwach przerażały mnie. Miałem jakieś dziwne wewnętrzne drżenie spowodowane niepokojem. Udzielała mi się też atmosfera ulicy i domu. Dom przy ulicy Bugaj 19 to najwyższy, bo aż czteropiętrowy, budynek na tej ulicy. Nie miał piwnic. Każdy lokator miał natomiast komórkę na strychu. Wewnątrz był korytarzowcem, z którego wchodziło się do jednoizbowych mieszkań. Jeden pokój – jedna rodzina. Tylko od strony podwórka w jednym pionie były mieszkania dwupokojowe z kuchnią. Z korytarza wchodziło się na klatkę schodową o pięknych, drewnianych schodach z metalową barierką i idealną do zjeżdżania poręczą. Z czwartego piętra jechało się różnie. My, dzieci, najczęściej na brzuchu. Dorośli popisywali się jazdą przodem bez trzymania. Babcia mieszkała na czwartym piętrze i zajmowała szczytowe mieszkanie z prawej strony budynku. Okno wychodziło na ulicę. Widok z okna obejmował panoramę Wisły od mostu kolejowego przy Cytadeli do mostu Kierbedzia. Na wprost widać było dachy wybudowanego w 1938 roku bloku oficerskiego; z lewej czerwone mury farbiarni; z prawej pawilon i teren przedszkola. Naprzeciw praski brzeg Wisły, wieża kościoła św. Floriana i budynek szpitala im. Przemienienia Pańskiego. W dole, pod mostem Kierbedzia, stacja kolejki wąskotorowej, a nieco w lewo od stacji konstrukcja metalowa kolejki górskiej i wieża spadochronowa. Między mostami zielony teren warszawskiego zoo. Dobrze było widać Wisłę i szosę prowadzącą od mostu do mostu. Była już asfaltowa. Było to stanowisko obserwacyjne babci. Miała tak duży zasięg obserwacji, że gdy nawet z daleka spoglądałem w okno, to widziałem, jak babcia grozi mi palcem, abym czegoś nie zrobił. Nie było się gdzie przed nią skryć – wszystko widziała.

1 września wszyscy patrzyli w niebo. Gdzieś wysoko brzęczały jakieś samoloty. Ludzie pokazywali je palcami. Jeszcze nie docierały do mnie ostrzeżenia, które za kilka dni przerażały każdego. Radio nadawało komunikaty przeciwnicze: Uwaga! Uwaga! Nadchodzi koma 3 lub koma ileś tam przeszedł. Dopiero około godziny 15 dotarła do mnie groza wojny.

Nad Warszawę nadleciało kilkanaście samolotów. Rozpoczęło się bombardowanie. Patrzyliśmy z okna, jak bomby rozrywały się wokół stacji kolejki wąskotorowej pod mostem. Widać dym z budynków szpitala. Pali się. Ludzie spekulują na temat zniszczeń. Jakiś chłopak pobiegł zobaczyć to z bliska. Bomby padają na teren ogrodu zoologicznego. W tym dniu wojna na ulicę Bugaj jeszcze nie przyszła. Spaliśmy w swoich łóżkach.

Następnego dnia coś zaczęło się organizować. W domach powstawała jakaś straż porządkowa, która nie wpuszczała nikogo obcego. Na dachu czuwali obserwatorzy przeciwpożarowi. Z górnych pięter przenoszono posłania na parter i pierwsze piętro. Każda rodzina miała swój kąpiel.

W sierpniu, na kilka dni przed wybuchem wojny, urodził mi się brat Wojtek. Rodzice przenieśli się z nim do babci. Przydzielono nam kąpiel do spania na drugim piętrze w kuchni mieszkania dwupokojowego. Ja z bratem Zbyszkim spaliśmy na kozetce, a rodzice pod oknem na materacach. Dla Wojtka ojciec zrobił posłanie w koszu na bieliznę.

Dom był zorganizowany. Dyżury, informacje, zdobywanie żywności i jej rozdział. Wszystko pod kontrolą. Nam, dzieciom, wolno było wychodzić na ulicę tuż koło domu tylko w przerwach między nalotami. Po usłyszeniu sygnału alarmu lotniczego ulica natychmiast pustoszała. My chowaliśmy się obowiązkowo do bramy, jak małe świstaki do nor na widok drapieżnika.

Naloty powtarzały się często; pięć dziennie i trwały nawet ponad godzinę. Naszej ulicy nie bombardowano. Natomiast złowrogie wieści nadchodziły z innych ulic. Ojciec wraz z wujkiem wychodzili gdzieś, gdzie potrzebne były ręce do pracy. Byli w brygadach, które gasiły pożary lub ratowały ludzi zasypanych gruzami zburzonych domów. Często gasili pożary w magazynach żywności. Pamiętam, że któregoś dnia przynieśli cały worek puszek ze szprotkami w oleju. Puszki były osmalone, a zawartość zalatywała dymem. Jednak była to cenna zdobycz. Płonie Zamek Królewski. Potrzeba ludzi do ratowania zabytków. Poszli mężczyźni z całego domu.

W dniach nalotów zmieniłem swój pogląd na samoloty. Zacząłem je doceniać. Budziły we mnie grozę. Liczni uciekinierzy, których też kilkanaście rodzin nasz dom przyjął, opowiadali straszne rzeczy o tym, co się działo na drogach po nalotach lotniczych. Śmierć i zagłada wszystkiego, co nie zdążyło się gdzieś schować. Tli, na Bugaju, słychać było wybuchy bomb i czuło się zapach dymu, nawiewanego z miasta.

Gdzieś w ósmym dniu wojny na ulicę Bugaj przyszło wojsko. W przejściu bloku oficerskiego ustawili kuchnię polową, a na terenie przedszkola 3 armaty. Kuchnia przez cały czas gotowała posiłki. Najczęściej grochówkę. Czasami nam, dzieciom, dostało się trochę zupy w zawczasu przygotowane miski. Natomiast z armatami odbywał się jakiś niezrozumiały dla mnie ceremoniał. Armaty miały lufy skierowane na południowy wschód. W określonych godzinach z koszar na podzamczu przychodzili do nich w szyku zwartym kanonierzy. Padały komendy. Robił się jakiś ruch koło armaty, następna komenda i huk salwy. Pociski gdzieś poleciały. Kanonierzy na komendę formowali szyk i wracali tą samą drogą do koszar. Przy armatach pozostawał tylko wartownik. Dziwna to była artyleria. Trzy salwy dziennie w odstępach kilkugodzinnych; razem dziewięć pocisków. Do kogo i po co strzelali, nie wiem do dziś. Ale wtedy nad tym się nie zastanawiałem. Cała ulica wychodziła patrzeć, jak sprawnie nasi żołnierze maszerują, strzelają i odchodzą. Przypuszczam, że dorośli też zastanawiali się, po co i do kogo oni oddają te salwy. Nigdy nie prowadzili jakiegoś intensywnego ognia. Do końca wojny – jedna salwa (3 pociski) trzy razy dziennie. Tak jak lekarstwo na przeziębienie przepisane przez lekarza.

Po podejściu Niemców pod Warszawę wojna przysłała na naszą ulicę. Już nie lotnictwo nam zagrażało. Przed nim można było się schronić. Ono działało w określonych godzinach, a komunikaty radiowe i syreny ostrzegały przed nalotem. Był czas na ukrycie. Artyleria niemiecka! To ona stanowiła główne zagrożenie. Pociski odłamkowe, tak zwane szrapnele, padały wszędzie i o każdej porze. Ich krótki huk przypominał uderzenie metalu o metal. Dźwięczne, krótkie „bum” i szelest lecących odłamków wzbudzał strach wszystkich; „bum”, szelest i krzyk rannego. Krzątana, komentarze: „Pocisk wpadł przez okno do pani Ryfki. Zginął jej mąż i jeszcze ktoś. Wszyscy inni są ranni. Udzielają im pomocy”. Na ulicy słychać człapanie koni. To konie ze stajni usytuowanej na podwórku domu narożnego przy ulicy Bugaj i Boleść, rozbitej pociskiem „bum” i ciche rżenie. Konie wałęsają się na bruk. Zabite. Po chwili co śmielsi wyskakują z nożami i wiaderkami. Ojciec tego dnia przyniósł całe wiadro końskiego mięsa.

Pewnego dnia Wisłą płynęły barki. Ciągnął je jakiś statek. Nagle statek został trafiony. Zerwał cumy i zostawił barki same sobie. Następne wybuchy osadziły je na dnie. Dwie skryły się pod wodą, a jedna zanurzyła się po górny pokład. Załoga je opuściła. Kilku mężczyzn z naszego domu postanowiło sprawdzić, jaki wiozły ładunek. Łódką dostali się na pokład. Pod pokładem zatopione były worki z cukrem i ryżem. Cukier pod wpływem wody rozpuszczał się. Łódką przywieźli na brzeg ociekające wodą worki. Była piękna słoneczna pogoda, więc ich suszenie nie nastrecało trudności. Cukier zlepiał się w zwartą masę, ale po odłupaniu był słodki i nadawał się do użycia. W ów ryż i cukier z barek zaopatrzyła się cała ulica. Pamiętam, że ryż z barki jedliśmy jeszcze latem 1940 roku. Po przyniesieniu ryżu moja matka zrobiła wspaniały obiad: ryż z gulaszem z koniny. Smakowało wspaniale. Matka koniny nie jadła, ale ja do dziś przedkładałam to mięso nad inne, tyle tylko, że już z przyczyn zdrowotnych.

Ostrzały z artylerii niemieckiej trwały dzień i noc. Ludzie byli nimi zmęczeni. Drżeliśmy z niepokoju o ojca, który musiał wychodzić na ulicę bądź to do prac ratunkowych, bądź po wodę lub żywność. Wybuchy szrapneli przerażały wszystkich. Ludzie byli przygnębieni. Gdzieniegdzie koczujące na korytarzach rodziny modliły się. Po każdym wybuchu sypał się tynk na głowę i cieszyliśmy się, że pocisk nie trafił w nasz dom. Od czasu do czasu nadchodziły wiadomości optymistyczne. Euforia radości wybuchła, gdy artyleria przeciwlotnicza stojąca na forcie Sanguszki zestrzeliła niemieckiego sztukasa. Spadł na róg Krzywego Koła, Kamiennych Schodków i Rynku. Srebrzysta kupa złomu. Chodziliśmy go oglądać pełni satysfakcji, z dziecinnym powiedzeniem „a dobrze mu tak”.

Jednego popołudnia matka moja, zdesperowana ciągłymi niewygodami i wyjątkowo silnym ostrzałem artyleryjskim ostatnich dni, podjęła desperacki krok. Postanowiła, że idziemy spać do pokoju babci na czwarte piętro. (W tym czasie pocisk zniszczył pomieszczenie na drugim piętrze. Na szczęście byliśmy wtedy na korytarzu). Wzięła nas za ręce i poszliśmy na górę. Pociski rwały się w różnych punktach ulicy. Matka położyła nas spać. W nocy kanonada ucichła. Wszyscy z tego skorzystali i spali. Obudziłem się. Przez okno widziałem czyste, błękitne niebo. I cisza. Niespotykana cisza. W pewnym momencie usłyszałem warkot silnika samolotowego. Nie był to jednak warkot szturmowca. Wyjrzałem przez okno.

Nad Wisłą leciał jakiś samolot dość nisko. Wyraźnie widziałem czarne krzyże. Zdziwiłem się, że nikt do niego nie strzela. Dorosli wypowiadali co jakiś czas słowo „kapitulacja”. Zapytałem, co to znaczy. Odpowiedź brzmiała: zawieszenie broni. Kto, gdzie i na czym tę broń wieszal? Wyjaśniono mi, że to taki okres czasu, gdy nikt do nikogo nie strzela, tylko rozmawiają, jak tę wojnę zakończyć.

Po raz pierwszy od miesiąca mogliśmy wyjść na ulicę. Zniszczenia od szrapneli i bomb były duże. Co najmniej dziesięć końskich szkieletów obdartych z mięsa leżało na ulicy. Kuchnia polowa nie dymiała, a bateria na terenie przedszkola stała na tym samym miejscu. Do koszar i z koszar na podzamczu przychodzili żołnierze. Niektórzy już bez broni. Czy widziałem żołnierza z karabinem na sznurku? Tak, w tym dniu oraz wcześniej. Panowało ogólne odprężenie. Z budynku wyszli uciekinierzy.

Okupacja

Zawieszenie broni wszyscy przyjęli z ulgą. Zaczęli powracać do domów ci, którzy z jakichś przyczyn opuścili rodziny. Jedni wcześniej, inni później. Wszyscy gorąco witani przez całą społeczność domu. Jednak na wielu czekano na próżno. W pierwszych dniach października zachorowała moja mama. Miała wodę w boku. Chodziłem do niej do szpitala na Solcu. Jakimś cudem ocalał. Nosilem jej jedzenie. Pamiętam, babcia dała mi bochenek białego chleba. Zaniosem go mamie, ku jej radości.

W drugim miesiącu wojny chleb był trudno dostępny i trzeba było długo stać w kolejkach, żeby go kupić. W tym czasie ojciec zmienił mieszkanie. Przenieśliśmy się na daleką Pragę. Ulica najpierw Projektowana, a później nazywana Słoneczną, leżała między ulicami Trocką a tzw. Czarną Drogą, prowadzącą na osiedle na tyłach zabudowań powszechnie nazywanych „Białą Karczmą”. Ulica błotnista w czasie opadów graniczyła z polami rozciągającymi się prawie od ulicy Radzymińskiej do murów cmentarza brudnowskiego i po szerokość od ulicy Trockiej do ulicy Gilarskiej i Czarnej Drogi. Po prawej stronie tej ulicy rozciągały się bagna. To ogromne pole nazywano „polem Hipka”, chyba od imienia jego właściciela. Jego folwark widać było z daleka.

Dla nas, dzieci, najważniejsze było pole. Rozległe, zarośnięte burzanami, pełne wykrotów, wyrobisk piasku i gliny i innych ciekawych miejsc do zabaw i kryjówek. Któregoś dnia zapuściliśmy się z moim rówieśnikiem Ryśkiem Cabajewskim, który mieszkał naprzeciwko nas, na wyrobisko piasku odległe około 300 metrów od domu. Chyba, jak zwykle, bawiliśmy się w wojnę. W zaroślach odnaleźliśmy porozrzucone części mundurów i uzbrojenia wojskowego. Było tam kilka pasów żołnierskich z ładownicami i amunicją; bagnety, szabla, trzy karabiny, łopatki saperskie, mundury. Zielone drelichy zwinięte w tobołki. Obok kilka hełmów. Wokół porozrzucona amunicja i granaty. Porzucona broń. O znalezisku powiadomiliśmy ojca Ryśka, który był w domu. On zawsze był w domu, ponieważ był szewcem i miał swój warsztat w lokalu, w którym mieszkali. Wraz z innymi mieszkańcami domu jeszcze raz przeszukali wyrobiska. Znaleźli kilka miejsc z porzuconą bronią. Pozbierali ją i gdzieś zakopali. Dzieci przy tym nie było. Dopiero po pewnym czasie uzmysłowilem sobie, że był to sprzęt tych żołnierzy, którzy nie poszli do niewoli. Zdobyli gdzieś cywilne ubrania i tu właśnie zostawili swoje mienie wojskowe. Moja niezwykła szabla na pewno już zardzewiała doszczętnie, chyba że ktoś ją wykopał i przechowuje jako zabytek przeszłości.

W tym miejscu muszę wrócić do ostatnich dni września i początków października. Dochodziły do nas różne wiadomości. W koszarach na podzamczu nie było już wartownika. Brama była otwarta. Poszedłem tam z moim przyjacielem Tomkiem Sulakiem. Cywile wynosili z koszar koce, sienniki i różne deski. Budynek sztabu stał otworem i nikt go nie pilnował. Weszliśmy tam z Tadkiem. Drzwi do kancelarii były pootwierane. Walały się jakieś papiery. Na ścianach portrety marszałków Piłsudskiego i Rydza-Śmigłego. Drobiazgi walały się wszędzie. W jednym z pomieszczeń znalazłem długi drut oprawiony w rączkę. Na końcu miał podłużny otwór, jak w uchu igły. Wziąłem go do zabawy. Był to wycior do kolb. Innego dnia byłem z wujkiem Zygmuntem (najmłodszym bratem mojej mamy) na forcie Sanguszki. Tam też panowało rozluźnienie wśród wojska. Szykowano się do niewoli. Widziałem, jak żołnierze szli z podzamcza. Na początku znane mi konie ciągnęły trzy działka przeciwpancerne. Siwki szły noga za nogą, nie spiesząc się. Dobrze, że przeżyły wojnę. Część żołnierzy jechała na koniach, część szła pieszo za armatami. Za nimi posuwała się kolumna piechoty. Szli smutni, bez orkiestry i fanfar. Ludzie z Bugaja i sąsiednich ulic żegnali ich z ponurymi twarzami. Kobiety płakały. Kuchnia polowa pozostała. Bez ognia wyglądała jak wymarły wrak. Armaty z przedszkola stały jeszcze długo. Zabrali je Niemcy po pewnym czasie. Nastal czas bez wojska. Nasi odeszli, wróg jeszcze nie nadszedł.

Po wyjściu mamy ze szpitala zamieszkaliśmy na Pradze. Do szkoły nie chodziliśmy. Z ojcem urządziliśmy wyprawę po żywność. Na polach w okolicach Marek i Ząbek zbieraliśmy pozostawione tam kartofle, buraki czy marchew. Jeden taki wypad zaopatrywał rodzinę w warzywa na co najmniej tydzień. Głodu jeszcze nie było. W zapasie mieliśmy ryż i cukier z barek.

Pierwszego żołnierza niemieckiego zobaczyłem chyba pod koniec października na ulicy Radzymińskiej przy Piotra Skargi. Był ciepły słoneczny dzień. Na ulicy stało ich trzech. Wysocy, dobrze ub-

rani w czyste mundury. Mieli hełmy, maski, bagnety, pasy z szeroką klamrą i jakimś napisem. Później dowiedziałem się, że napis „bóg z nami” był ich mottem. Żołnierze trzymali w rękach karabiny gotowe do strzału. Coś do siebie szwargotali, śmiali się. Patrzyłem na tych chłopców z podziwem i zazdrością, że to nie nasi. Ludzie mówili o żołnierzach niemieckich bardzo źle. Słyszałem o zbrodniach popełnionych przez nich gdzieś pod Warszawą jeszcze we wrześniu. Mówiono, że rozstrzelali idących do niewoli żołnierzy, że pełno trupów ludzi w zielonych polskich mundurach wala się w rowach przy drogach. Po pewnym czasie drogą od Radzymina wjechała kolumna artylerii. Później przez kilka godzin szła piechota. Niektóre kolumny śpiewały piosenkę, w której powtarzały się w rytm kroków słowa „hei li hei la”. Szybko przyswoiliśmy sobie melodię i słowa i nawet przez pewien czas ją śpiewaliśmy, ale szybko dorośli wyplenili ją z naszego repertuaru.

Rok szkolny 1939/1940 był dla mnie stracony. Dopiero we wrześniu 1940 roku poszedłem do drugiej klasy. Szkoła powszechna mieściła się w kilku pomieszczeniach. Budynek główny z drewnianą przybudówką stał między ulicami Jurskiego i Mrozowską. Równolegle do tej ulicy w odległości 100-150 metrów przepływał kanał, przez który przechodziło się po drewnianym moście. Zawsze na długich przerwach buszowaliśmy nad kanałem. Za mostem rozciągały się uprawne pola folwarku Zacisze. W kanale walały się porzucone hełmy, maski, amunicja. Znajdowało się też karabiny i granaty. O znalezisku powiadamiało się nauczyciela lub któregoś z rodziców. Nie wolno nam było zgłaszać znalezionej broni granatowym policjantom ani niemieckim żandarmom. Zgłoszenie takie uważane było za zdradę. Wiedzieliśmy też, że znaną broń należy oddawać władzom okupacyjnym, a za jej posiadanie groziła kara śmierci.

Ta część dzielnicy Zacisze nazywała się Osiedle; chodziłem więc do drugiej klasy na Osiedlu. Do szkoły miałem około jednego kilometra. W pogodne dni droga była dobra. W słotne – wszystkie ulice Osiedla zamieniały się w nieprzejezdne błotniska. Latem chodziliśmy do szkoły boso. Przed wejściem do klasy długo czyściło się buty lub myło nogi w kałuży. Rok przerwy w nauce uczynił ze mnie wtórnego analfabetę. Dała o sobie również znać moja dysleksja. Nie mogłem nauczyć się czytać i to było powodem, że rok szkolny 1940/1941 poszedł na marne. Zostałem w drugiej klasie na drugi rok.

W tym czasie dowiedziałem się, że Niemcy napadli na inne państwa na Zachodzie. Ojciec przyniósł jakieś kolorowe czasopismo, na którego okładce było zdjęcie żołnierza leżącego przy rkm-ie. Był w dziwnym hełmie na głowie i miał smutny wyraz twarzy. Przesylabizowałem podpis, że to żołnierz belgijski, który bohatersko walczył, ale musiał poddać się Niemcom, bo oni byli silniejsi. Mówiło się też, że część Polski zajęli Rosjanie, ale trudno mi powiedzieć, jakie na ten temat wyrażano sądy.

Rok 1940 przebiegał nadal pod znakiem leczenia ran zadanych w 1939 roku. Po sukcesach Niemców we Francji nikt nie liczył na rychłe wyzwolenie. Dorośli szykowali się do życia pod okupacją.

Nazwisko o niemieckim brzmieniu

Któregoś dnia latem 1940 roku przyszedł do naszego mieszkania jakiś elegancko ubrany osobnik w kapeluszu. Ojca w domu nie było. Człowiek ten długo wypytywał mamę o różne sprawy, dotyczące naszego pochodzenia. Z urywków rozmowy, które zapamiętałem, wywnioskowałem, że jest on przedstawicielem jakiejś instytucji niemieckiej, zajmującej się ludźmi pochodzenia niemieckiego, że instytucja ta może udzielić nam pomocy, i że w niedługim czasie dostaniemy oficjalne wezwanie na jakieś przesłuchanie. Matka wyjaśniła, że nie mamy z Niemcami nic wspólnego, nie chcemy nigdzie chodzić i nie potrzebujemy żadnej pomocy. Nie pomogło. Kilkanaście dni później granatowy policjant przyniósł nam oficjalne wezwanie do stawienia się w oznaczonym dniu i godzinie w tym urzędzie. W piśmie wymienieni byli wszyscy z imienia i nazwiska, czyli: tata, mama, ja i młodszy brat Zbyszek. Natomiast pominięto moją siostrę Elżbietę, która w tym czasie przebywała u jednej z ciotek. W oznaczonym dniu rodzice stawili się z nami we wskazanym urzędzie. Mieścił się w jakiejś piętrowej willi gdzieś na Mokotowie. Po okazaniu wezwania zaprowadzono nas do poczekalni, gdzie oczekiwała już jakaś rodzina. Był tam też mężczyzna, bardzo rozmowny, który nas wypytywał i starał się udzielać rad. Rodzice raczej milczeli. Facet wyjaśnił, że wezwani zostaliśmy po to, aby zadeklarować swoje niemieckie pochodzenie, radził, aby na wszystkie pytania odpowiadać twierdząco i aby podpisać jakieś papiery. Urzędnik mówiący po polsku, ale z akcentem robił na mnie wrażenie bardzo sztywnego. Ze strony rodziców słowo „tak” padło tylko przy sprawdzaniu personaliów. Rodzice zdecydowanie powiedzieli „nie” na propozycję podpisania „volkslisty”. Wiem, że urzędnik coś krzyczał i straszyl. Rodzice nie podpisali.

Jednak fakt wezwania nas do niemieckiego urzędu rzutował na stosunek niektórych sąsiadów do nas. Dopiero gdy razem z nimi, w późniejszym czasie, dzieliliśmy okupacyjną biedę wcale nie przystającą volksdeutschom, uwierzyli, że rodzice są „czyści” i nie podpisali podsuwanych papierów.

Dziecko o aryjskim wyglądzie

Wydarzyło się to późną wiosną 1941 roku. Poszedłem wtedy z moim o kilka lat starszym przyjacielem Tadekiem Gotowickim do kina „Praskie Oko”, które mieściło się przy ulicy Zygmuntowskiej blisko Targowej. Grali tam wtedy film „Sygnały” w polskiej wersji językowej. Filmy w tym kinie wyświetlano na okrągło. Kupowało się bilet, wchodziło się na przykład w połowie seansu i oglądało do tej samej sceny. Tadeusz był starszy, a ja przy nim wyglądałem jak młodszy brat. Bileter wpuścił tylko jego, bo był to film dla dorosłych. Umówiłem się z kolegą, że poczekam na niego pod kinem. Była ładna pogoda i z przyjemnością patrzyłem na ruch uliczny, jaki panował na ruchliwym skrzyżowaniu. Siedząc na jakimś kamieniu, zauważyłem, że z kina wyszła kobieta w czarnym kostiumie, czarnym kapeluszu i szpilkach. Była bardzo ładna. Obok niej szedł oficer w szarym mundurze w rękawiczkach i w butach z cholewami. W pewnym momencie kobieta spojrzała na mnie. Przystanęła, coś powiedziała oficerowi niemieckiemu. Ten odszedł. Kobieta wyciągnęła z torebki czekoladę, podeszła podając mi ją. Nie chciałem jej wziąć, ale ktoś mi podpowiedział: „Bierz, jak pani daje”. Tymczasem powrócił oficer w towarzysztwie „granatowego”. Policjant powiedział mi, że pani i pan oficer interesują się mną. Mam im powiedzieć, jak się nazywam i gdzie mieszkam. Udałem zastraszonego i nic nie mówiłem. Jednak „granatowy” miał argument. Powiedział: „Mów, gówniarzu, bo wezmę cię na posterunek i tak ci dupę spiorę, że cię rodzona babka nie pozna”. Uwierzyłem mu i podałem żądane informacje. Kobieta, uśmiechając się do mnie, zapisała dane i dała mi jeszcze cukierki dla rodzeństwa. Coś powiedziała mi, szwargocząc i uśmiechając się, odeszła. „Granatowy” patrzył na mnie i powiedział mi, że ta pani uznała, że jestem pochodzenia aryjskiego, mówiła, że jako szatyn o zielonych oczach jestem świetnym materiałem na Niemca. Już bardziej życzliwie poradził, bym o zajściu opowiedział rodzicom. Opowiedziałem nim pojawili się za trzy dni. Kobieta, tłumacz i „granatowy” z posterunku przy Jurskiego. Coś tam pogadali z matką. Pani okazała się lekarzem. Pracowała w Polsce w instytucji zbierającej dzieci o cechach aryjskich na wychowanie w Niemczech. Wtedy potrzebna była jeszcze zgoda rodziców. Ale moi rodzice nie zgodzili się na oddanie mnie. Natomiast obawiali się, że mogą im być zabrany siłą. Piękna pani (naprawdę taka była) odwiedziła nas jeszcze kilka razy. Aby nie kusić licha, postanowiono wysłać mnie gdzieś z domu. Z pomocą przyszedł nam lekarz, do którego przychodziliśmy po tran. Zaproponował matce, aby wysłała mnie na dwa miesiące na wakacje do „gospodarza”. Wakacje te załatwiała jakaś organizacja pomocy biednym dzieciom. 25 czerwca 1941 roku zawieszony zostałem do miejscowości Mokra Wieś, 14 kilometrów za Thuszczem. Trafiłem do państwa Roguskich. Była to starsza już para zacnych ludzi. Pan Roguski wysoki, trochę zgarbiony, ale krzepki mężczyzna. Miał wąsy jak Piłsudski, a i „maciejówkę” też nosił. Przyjęli mnie serdecznie. Pan Roguski myślał, że przysłał mu z miasta jakiegoś krzepkiego chłopaka, który poszedłby z nim w pole do kosy, a tu pojawiło się niespełna dziesięcioletnie chuchro. – Będziesz pasł krowy – zawyrokował. Pokazał mi gospodarstwo. Pierwszy raz zobaczyłem z bliska świnie oraz zwierzę, które miałem paść. Była to czarno-biała krasula. Reguscy posiadali około 14 hektarów ziemi, a w tym kilka łąk ogrodzonych żerdziami, służącymi za paśniki. Z tym pasieniem to też było ulgowo. Po śniadaniu brałem krasulę na postronek i wyprowadzałem na trawę, która zarastała drogi i dróżki. Po dwóch godzinach pani Roguska wołała mnie na drugie śniadanie. Zostawiałem wtedy krowę w paśniku i do końca dnia chodziłem z panem Roguskim. Dzięki temu poznałem pracę rolnika. Były żniwa, towarzyszyłem przy koszeniu. Pan Roguski kosił, a jego żona sierpem zbierała pokosy i wiązała je w snopki. Ja ustawiałem kopki. Z początku szło mi słabo, ale później całkiem niezłe. Najchętniej szukałem jajek. Kur było dużo i niosły się w różnych miejscach. Jedną z nich znosiła jajka w tak zwanym brogu. Jest to dach na czterech słupach podnoszony, a przeznaczony do składania nie wymłóconego zboża. W pozostałym tam zbożu znalazłem kiedyś 50 jaj. Większość nie nadawała się do jedzenia. Miałem też dużo czasu na chodzenie po lesie. Zbierałem i suszyłem grzyby według wskazówek pani Roguskiej.

Gdzieś po miesiącu przyjechał do mnie ojciec. Poznał gospodarzy. Bardzo się polubili. Ojciec w prezencie przywiózł im karbidówkę i 2 kilo karbidu. Nauczył ich obsługi tego wojennego wynalazku do oświetlania mieszkań. W zamian został obdarowany różnymi produktami rolnymi. Od tej pory ojciec przyjeżdżał co tydzień. Przywoził panu Roguskiemu zamówione przez niego przedmioty, a otrzymywał ser, śmietanę, masło, jaja, a nawet kartofle. Spędzałem z ojcem cały czas. Powiedział mi, że piękna pani przychodziła z początku sama, a później co jakiś czas przychodził „granatowy”. Pani ta powiedziała mamie, że ona sama chciała mnie wziąć do siebie i u niej byłbym gdzieś pod Berlinem. Uczyłbym się i miał dobrze. Teraz, po latach, mogę powiedzieć, że żałowałem wtedy, że mama mnie nie oddała. Kobieta ta, mimo że Niemka, wydała mi się wcieleniem dobroci. Mama natomiast była złośliwa, apodyktyczna i przy byle okazji okładała mnie i brata tzw. dyscypliną (pięć rzemieni przybitych do drewnianej rączki). Hołdowała zasadzie „lepsze bite niż zdechłe” i jeśli któremuś z nas nie wlała, to uważała dzień za stracony. Tak mi się wtedy wydawało. W gruncie rzeczy przy całej jej nerwowości i błędnych poglądach na wychowanie własnych dzieci była kobietą z otwartym sercem, gotowa nieść pomoc każdemu, choć czasami zapominała o nas.

Drugie spotkanie z niemieckim żołnierzem

Życie u państwa Roguskich przebiegało mi beztrąsko. Mieszkańców wsi gnębiły natomiast nocne wizyty „leśnych”, jak ich nazywał mój gospodarz. Podczas mojego u nich pobytu przeżyłem trzy takie spotkania. Przychodzili zawsze nocą, we dwóch lub trzech. Pan Roguski zawsze z nimi rozmawiał, ale czasami dochodziło do głośniejszej wymiany zdań. Zawsze przychodzili po pieniądze. Nie chcieli produktów tylko pieniądze. Po takich wizytach mówił, że to nie partyzanci tylko zwykli bandyci-rabusie.

W połowie sierpnia u Roguskich było już po żniwach. Część wymłóconego zboża czekała w workach na przemiał na mąkę i śrutę dla zwierząt. Miało się to dokonać we młynie, który znajdował się w Tłuszczu. Któregoś dnia gospodarz powiedział mi, że jedzie do młyna i chce mnie ze sobą zabrać. Zwiedzę miasto i będę pilnować wozu, gdy on załatwiał będzie różne sprawy. Wyjechaliśmy rano. Gdzieś po dwóch godzinach jazdy wjechaliśmy na szosę. Mój gospodarz zabrał na wóz jakiegoś chłopca w moim wieku. Był to syn jego znajomych. Koń stąpał noga za nogą. Dzień był ładny. Pan Roguski zatrzymał konia i oddając mi lejce powiedział, abym jechał wolno, on tylko wstąpi do tego domu i zaraz nas dogoni. Kobyła jakby na to czekała. Usłyszała inny głos i na pewno wyczuła, że ktoś inny powozi, więc od razu ruszyła szybciej, niż ja sobie tego życzyłem, a po pewnym czasie przeszła w galop. Nie mogłem jej zatrzymać. Wóz pędził, a koń nie reagował na polecenia. Tak pędząc zauważyłem przed sobą niemieckiego żandarma. Stał na środku drogi i dawał sygnały do zatrzymania się. Obok drogi oparty o drzewo stał jego rower. Wóz przemknął obok niego jak burza. Żandarm coś wrzeszczał, zdjął z ramienia karabin, ale nie strzelił. Zobaczył na wozie dwóch chłopców. Po chwili dogonił pędzącego konia na swoim rowerze, chwycił ręką za uzdę tuż koło pyska i osadził kobyłę na miejscu. Dziw, że się nie przewrócił. Odebrał mi lejce i przywiązał nimi konia do drzewa. Nam kazał zejść z wozu i poprawną polszczyzną zapytał mnie, dlaczego nie zatrzymałem konia na jego wezwanie. W tym czasie koło nas zgromadziło się kilkanaście osób dorosłych, którzy przyglądali się zdarzeniu. Nie pomogły tłumaczenia, że kobyła narowista i poniosła, że nie reagowała na polecenia. Żandarm powiedział, że za nieposłuszeństwo wobec władzy musimy być ukarani. Karę wymierzimy sobie sami. Z lejca uciął kawał rzemienia. Kazał mi ściągnąć spodnie i położyć się na skraju rowu. Rzemień dał jadącemu ze mną chłopcu i kazał mu przyłożyć mi kilkanaście porządnych razów. Słyszałem jeszcze, jak dorośli prosili żandarma, aby tego nie robił. Ktoś powiedział: „Panie Guciu, niech pan tego nie robi, to jeszcze dzieci. Koń poniósł...”. I jeszcze coś tam. Ale żandarm Gucio był nieubłagany. Nakazał bić. Chłopak płacząc przyłożył mi trzy razy, ale bardzo lekko. Gucio się zdenerwował i powiedział: „Nie tak, ja ci pokażę jak się bije”. Przyklęknął, lewą ręką przycisnął mnie do ziemi, a prawą bił. Z początku bolało, ale po jakimś czasie już nic nie czułem. Nie widziałem już, jak bił mojego nieszczęsnego współpasażera. Ocknąłem się w jakimś mieszkaniu, gdzie jakieś kobiety robiły mi okłady na pupę i plecy. Dowiedziałem się, że po pobiciu chłopca Gucio, jakby nigdy nic, odjechał na swym rowerze, zostawiając nas w rowie. Chłopca zabrali rodzice, którzy gdzieś tam blisko mieszkali. Mnie pan Roguski zaniósł do swoich znajomych. Do końca pobytu u nich leczyłem swoje siedzenie. Od tego zdarzenia wzrosła moja świadomość patriotyczna. Zacząłem nienawidzić Niemców, a żandarmów w szczególności. Guciovi życzyłem śmierci. Pan Roguski, który również o nim słyszał, opowiadał, że był to wyjątkowo brutalny żandarm i że ma na swoim sumieniu o wiele większe zbrodnie.

Po latach spotkałem jakiegoś mieszkańca Tłuszcza. Był starszy ode mnie i dobrze pamiętał czas okupacji. Opowiedziałem mu o przygodzie, jaka mnie spotkała w jego mieście. Powiedział mi, że słyszał o pobiciu dwóch chłopców przez żandarma koło młyna. Gucia też znał. Zabili go partyzanci w 1943 roku. Wtedy w lecie 1941 roku zobaczyłem, jak wygląda prawdziwy zbrodniarz.

Trzecie spotkanie z niemieckim żołnierzem

Rok szkolny 1941/1942 był dla mnie łaskawszy. Zdałem do trzeciej klasy. W czasie jego trwania odkryłem ciekawe zjawisko. Umiałem czytać po cichu, czyli jak mówiła moja mama „w duchu”. Natomiast nadal nie umiałem czytać głośno. Nikt mnie nie pytał, czy potrafię w ogóle czytać. Dla nauczyciela sprawdzianem moich umiejętności było głośne czytanie. Zawsze dostawałem za nie oceny niedostateczne i uchodziłem za lenia. Na czytaniu spędzałem dużo czasu. Całymi godzinami ślęczałem nad czytanką, a pytając matkę „jak?”, słyszałem „czytaj jeszcze raz”... Gdy udało mi się przeczytać po cichu, to rozumiałem tekst i nawet potrafiłem nauczyć się jakiegoś wiersza, i to bez trudu. Czytanie głośno było dla mnie torturą.

W tym roku państwo Roguscy zaprosili mnie ponownie do siebie na wakacje już bez pośrednictwa organizacji. Zawiózł mnie ojciec. Byłem już większy i pan Roguski stwierdził, że wydorosłałem. Pochwaliłem się świadectwem i przez kolejnych kilka dni opowiadałem, co słyhać w Warszawie. Pytali, jak tam się żyje. Mogłem mówić tylko to, co sam słyszałem i widziałem, co działo się w szkole, w domu i na naszej ulicy. A co się działo?

Na murach rozklejano czerwone dwujęzyczne plakaty mówiące, że za śmierć Niemca rozstrzelano 10, 20 lub 50 zakładników. Ludzi rozstrzelivano na ulicach w miejscach publicznych. Słyszało się o tym codziennie. Ludzie stali przy plakatach i szukali nazwisk bliskich lub znajomych. Niektórzy odchodzili z płaczem, wszyscy w skupieniu. Na każdego, kto wyszedł z domu, czekano z obawą. Tuż przed godziną policyjną wypatrywano, czy nie idzie. Któregoś dnia nie wrócił z pracy nasz sąsiad pan Biernacki. Innego – zatrzymano w łapance mojego przyjaciela Tadka Gotowickiego. Wywieziono ich na roboty do Niemiec. Gorsza wieść przysłała od naszej sąsiadki z pierwszego piętra. Zabili jej męża. Płacz córek, Czesławy i Barbary, słyhać było długo. Wszyscy im współczuli. Cóż jednak znaczy współczucie wobec śmierci kogoś najbliższego? Ojciec po powrocie do domu opowiadał o łapankach, egzekucjach, a również o napadach na Niemców i ich lokale oraz instytucje niemieckie.

Któregoś dnia po południu wracałem z ojcem od babci z Bugaju do domu. Chodziliśmy przeważnie na piechotę, bo tramwaje były dość drogie. W okolicach pętli tramwajowej koło wiaduktu na ulicy Radzimińskiej żandarmi zamknęli ulicę z dwóch stron i spędzili znajdujących się w kotle ludzi pod płot. W kotle znalazłem się i ja z ojcem. Po drugiej stronie ulicy była ściana jakiegoś budynku. Czerwona od cegieł i bez okien. Staliśmy tam piętnaście minut. Przyjechały samochody zwane budami. Z jednej z nich wypchnięto ludzi ze związanymi z tyłu rękami. Usta mieli zaklejone. Ojciec powiedział, że to kneble, żeby nie krzyczeli. Z pozostałych dwóch samochodów wyskoczyli żołnierze z karabinami. Było ich około dwudziestu. Stali do nas tyłem naprzeciw dziesięciu już wcześniej zmaltretowanych ludzi. Wiedziałem, co będę oglądał. Wtulilem się w ojca, a ten mocniej przycisnął mnie do siebie. Szczęk komendy. Szczęk ładowanej broni. Znów komenda. Huk wystrzałów. Straceni zwalili się, jak rzucone worki. Ludzie zamarli z przerażenia. Jeszcze jakieś pojedyncze strzały z pistoletu. Następnie wrzucono zwłoki na samochód. Odjechali. Tłum zbity pod płotem długo stał w osłupieniu. W ścianie widniały świeże ślady od kul, a na ziemi kałuże czerwonej krwi. Dopiero po jakimś czasie ktoś zaszlochał, ktoś zaklął. Staliśmy tam z ojcem jeszcze parę minut. Nie wiadomo, skąd ludzie wzięli kwiaty. Całe miejsce pokryto błyskawicznie kwiatami. Było to jedyna egzekucja publiczna, jaką widziałem, choć ze śmiercią innych spotykałem się nie raz. Widok tej egzekucji wywarł na moją psychikę duży wpływ. Stałem się świadkiem czegoś ważnego i od tamtej pory rozumiałem dokładnie, czym jest wojna, okupacja, kto z kim i po co walczy i czyją należy trzymać stronę.

Wiosną tego 1942 roku umarł na gruźlicę mój najmłodszy brat Wojtek. Miał niespełna trzy lata. Gruźlicą zaraził się w domu pewnej kobiety, którą matka się opiekowała. Idąc do niej, zawsze zabierała Wojtkę ze sobą.

W ogóle rok 1942 był rokiem śmierci. Panował tyfus i czerwotka zwana krwawą dyzenterią. Umarł na nią nasz kolega Kazik Biernacki. Na tyfus umarł któryś z sąsiadów. Po tych wypadkach ekipa sanitarna spryskała cały dom od piwnic po strych i każde mieszkanie karbolem. W sierpniu umarła babcia. Miała 51 lat i chyba bardzo zaawansowaną cukrzycę. Na pogrzeb przyjechałem z Tuszczu. Ta śmierć była dla mnie dużą stratą. Rozleciała się wraz ze śmiercią babci jakaś ostoja, przystań, gdzie w każdej chwili mogłem przyjść i byłem ciepło przyjęty. Bardzo przeżywałem jej śmierć.

We wrześniu 1942 roku czekałem na ojca u ciotki. Ojciec był na rybach. Złowił śliza ważącego trzy kilo i dwadzieścia deko. Zważyli go na ręcznej wadze. Szliśmy do domu. Ojciec niósł wędki i swoje narzędzia, ja rybę. Aby ją nieść, musiałem zgiąć rękę, a ogon i tak sięgał ziemi. Ludzie z Bugaju przyglądali się jej, a ojciec opowiadał, jak ją wyciągnął. Szliśmy Bugajem do Wybrzeża Kościuszkowskiego i dalej podjazdem na most Kierbedzia. Z daleka wyglądał jak kraciasty, długi wielościan. Po obu stronach były chodniki dla pieszych, a środkiem szyny tramwajowe. Po moście z naszej strony jechał tramwaj, a na przejściu dla pieszych nikogo nie było. W pewnej chwili u wylotu mostu na wysokości stacji kolejki wąskotorowej zauważyliśmy żandarmów. Wracamy – powiedział ojciec. Ale droga powrotna była już też zamknięta. Poszliśmy do przodu. Łapanka. Ojciec wyraźnie zwolnił kroku i dawał mi wytyczne, co mam robić. Uważał, że jego zaborą a mnie puszcza. Ruch też się zrobił w tramwaju, ale ludzie, nie widząc drogi odwrotu, pojechali dalej. Na moście zostaliśmy sami. Żandarmi na nas czekali. Ja w lewej ręce trzymałem rybę, a prawą kurczowo ojca. Pierwszy kordon żandarmów przepuścił nas. Podeszliśmy bliżej samochodów. Stało tam chyba z pięciu żołnierzy. Zobaczyli u mnie rybę. Była naprawdę okazała. Jeden jakiś starszy wiekiem podszedł, wziął rybę i pokazał ją kolegom. Któryś z nich zapytał ojca, gdzie ją złowił i na co. Widać wśród żołnierzy było kilku wędkarzy amatorów. Dyskusja na temat ryby trwała z pięć minut. Ojciec odpowiadał. W pewnej chwili ktoś od samochodów coś do nich krzyknął. Żołnierz oddał mi rybę i wraz z pozostałymi szybko oddalił się do samochodu. Odjechali, zostawiając nas samych na pustej ulicy. Z samochodu ktoś pomachał nam ręką. My zaś zszokowani patrzyliśmy na odjeżdżające „budy”. Po jakimś czasie ojciec spojrzął na rybę i powiedział: „Uratowała nam życie”, i to była prawda.

Swoim gospodarzom opowiadałem też o mojej pierwszej Komunii wiosną 1942 roku. Była to dla mnie bardzo przykra uroczystość. Podczas okupacji podstawowym moim obuwiem były drewniaki. Nosilem je od późnej jesieni do pierwszej wiosennej burzy. Po grzmotach matka chowała nam buty, odtąd w świętek i piątek chodziliśmy boso. Nie mieliśmy żadnych pantofli czy sandałów na uroczyste okazje.

Nie mieliśmy też żadnych przyzwoitych ubrań. Wiedziałem, że rodzice innych dzieci jakoś je uroczystie ubierają, a matka nie robiła do mojej Komunii żadnych przygotowań. Raz zapytałem ją, w co się w tym dniu ubiorę. Powiedziała, że pożycz mi ubranie od sąsiadki po Ryśku Cabajewskim, który Komunię miał w ubiegłym roku. W dniu Komunii przyniosła garnitur Ryśka. Biały, długie spodnie i marynarka. Koszulę jakąś miałem własną. Moja tragedia zaczęła się w czasie ubierania. Okazało się, że spodnie nie są zaprasowane w kant, lecz na boki. Po ich założeniu wyglądałem jak pierrot. To bym przeboleł, bo wtedy nie wiedziałem, jak powinny wyglądać uprasowane spodnie. Zapytałem matkę o buty. Odpowiedziała, że butów nie ma i że w tym garniturze pójdę boso. Zaprotestowałem gwałtownie. Matka miała w rękę jeden przekonujący argument: dyscyplinę. Poszedłem. W garniturze i boso. Czuję się, jak wystawiony na pośmiewisko. Najgorsza była droga do kościoła i do domu. Ludzie gapili się na mnie, jak na dziwoląga. W kościele było ciasno i nikt nie patrzył na moje nogi. Ale gdy trzeba było uklęknąć przed ołtarzem? Moje bose stopy wystające z ładnych spodni paliły mnie jak przypalane świecą. Wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą i w duchu się śmieją. Matka moja nie towarzyszyła mi. Wolą pozostać w domu. Może też miała jakieś skrupuły? Może...

W roku 1942 coraz częściej do naszego domu zaglądał głód. Czasami matka nie miała co dać nam jeść przez dwa, a nawet trzy dni. Wysyłała wtedy mnie i brata do rodziny. Dopóki babcia żyła, mogłem zawsze liczyć na jakieś jedzenie u niej. Po jej śmierci coraz częściej zastawałem zamknięte drzwi. Ciotki i wujkowie zajęci byli swoimi sprawami i nie czekali w domu na głodnego siostrzeńca.

Wakacje u państwa Roguskich przeszły spokojnie. Nocne wizyty „leśnych” odbywały się nadal. Mówili też o wojnie Niemców z Rosją. Docierały do mnie strzępy rozmów, ale specjalnie się tym nie przejmowałem. Martwiło mnie tylko to, że Niemcy wygrywają.

Wracając do domu pod koniec sierpnia. Przyjechał po mnie ojciec. Obdarowani przez panią Roguską produktami żywnościowymi poszliśmy przez lasy do Łochowa. Tam jakimś pociągiem dojechaliśmy do Tłuszcza i Wołomina. Na stacji w Wołominie musieliśmy przesiąść się do innego pociągu. Na torze stał pociąg osobowy, miał oddzielne drzwi do każdego przedziału. Po zewnętrznej stronie wzdłuż wagonu przebiegał dość szeroki stopień, na którym, trzymając się poręczy, można było z powodzeniem jechać. Przedziały były zapchane. Ojciec znalazł sobie miejsce, a ja poszedłem o jeden wagon dalej. Wydawał mi się mniej zatłoczony i stopnie były puste. Pociąg już ruszał, gdy wskoczyłem na stopień. Pomachałem ojcu, że jadę, a następnie pomyślałem, że można popробować szczęścia w przedziale. Otworzyłem drzwi. Zobaczyłem w nim siedzących żołnierzy niemieckich. Jeden z nich coś wrzasnął i nogą zepchnął mnie ze stopnia. Spadłem z nasypu skacząc z pędzącego pociągu. Na szczęście nic mi się nie stało. Drobne obrażenia głowy i rąk szybko się zagoiły, tylko rozbite lewe kolano leczyłem przez dwa miesiące, a pamiątka po tym bezpośrednim spotkaniu ze „szlachetnym” żołnierzem Wehrmachtu powracającym ze Wschodu została mi do dziś w postaci szramy i bólu w czasie zmiany pogody.

Powstanie w warszawskim getcie

Z bolącą nogą rozpocząłem rok szkolny 1942/43 już jako trzecioklasista. Nauka nadal szła mi opornie, ale jakoś dawałem sobie radę. Pod względem bytowym był to najgorszy rok w moim okupacyjnym życiu. Ojciec nie mógł znaleźć żadnej pracy. Matka wychodziła od czasu do czasu gdzieś na sprzątanie. Byliśmy ciągle głodni. Szczególnie dała się we znaki wiosna 1943. Później z pół przynosiliśmy marchew, brukiew lub buraki cukrowe. Zbierało się też komosę, którą mama gotowała jak szpinak. Później zdobywało się kartofle i zbierało kłosa. Wyłuskane ziarna mielono w młynku do kawy i z takiej śrutki matka gotowała zacierkową zupę. Czasami rodzice przynosili, kupioną na bazarze Różyckiego koninę. Wtedy była uczta.

Wojna z Rosją dała o sobie znać niebawem. Pewnego dnia szosą radzywińską przeszła w kierunku Warszawy długa kolumna jeńców radzieckich. Zmęczeni, zarośnięci, głodni. Ludzie podawali im co kto miał: kawałek chleba, papierosy, wodę w butelce. Robili przygnębiające wrażenie. Później spotkałem jeńców radzieckich pracujących w fabryce garbników przy ulicy Boleść i Wybrzeżu Kościuszkowskim. Czasami stali między wagonami przy siatkowym zarośniętym dzikim winem płocie. Ludzie podawali im jedzenie, mydło, papierosy.

W kwietniu 1943 roku gruchnęła wieść, że wybuchło powstanie w getcie i że Żydzi walczą z Niemcami. Kiedyś wybrałem się pod mur getta i obserwowałem budynki za murami. Robiłem to z rogu ulicy Franciszkańskiej, gdzie pod numerem 23 mieszkała jedna z moich ciotek. Widziałem tylko obstawę niemiecką wzdłuż murów, dym palących się domów i słyszałem dochodzące z daleka strzały karabinowe.

Żydzi przyszli na naszą ulicę kilka dni później. Pamiętam pana Dawida. Przesiedział w naszej piwnicy 3 dni. Później gdzieś poszedł. Na bagnach znaleźliśmy dwóch żydowskich chłopców. Byli głodni i potwornie zmęczeni. Dorośli zapewnili im bezpieczną noc i jedzenie. Jednak ktoś ich wydał. Następnego dnia złapali ich „granatowi” z posterunku przy Jurskiego. Zastrzelili ich po kilku godzi-

nach. Później powstanie upadło i mówiło się, że na bazarze można tanio kupić różne przedmioty pochodzące z getta.

Katyń

Pewnego dnia idąc ulicami Pragi zauważyłem na „baniach” i na murach barwne plakaty. Jeden przedstawiał dno jakiejś wody. W wodzie spoczywała kolumna żołnierzy w polskich mundurach. Każdy z nich miał uwiązany do nogi kamień. Na plakacie były jeszcze jakieś napisy. Ja zapamiętałem tylko słowo „Katyń” i coś tam jeszcze o zbrodniach sowieckich na polskich żołnierzach. Drugi plakat przedstawiał rosyjskiego żołnierza w czapce budionówce z wielką czerwoną gwiazdą. Żołnierz, trzymając w ręku karabin z bagnetem, siedział na piramidzie trupich czaszek. Była też jakaś informacja, ale na pierwszym planie widniało słowo „Katyń”. Ludzie zatrzymywali się przy tych plakatach. Wymieniali poglądy. Plakaty były bardzo sugestywne i nie sposób było przejść obok nich obojętnie. Obok wiadomości o zbrodni radzieckiej rozklejano plakaty o śmierci zakładników z rąk Niemców.

Kiedyś szedłem przez Rynek Starego Miasta. Na środku stał niemiecki samochód z głośnikami. Na rozwiniętym ekranie wyświetlano film czołówki filmowej. Przedstawiał ekshumację. Długie rzędy rozkopanych grobów i ludzie wynoszący z nich ciała ludzkie. Ktoś mi powiedział, że to film o Katyniu.

W domu, w którym mieszkaliśmy, dorośli twierdzili, że to zbrodnia niemiecka przypisywana Rosjanom. Zestawienie plakatów o Katyniu z czerwonymi listami rozstrzelanych nie dawało wiarygodności tej niemieckiej propagandzie. Dopiero czas pokazał, że w tym jednym przypadku propaganda niemiecka mówiła prawdę. Ja, już dwunastoletni chłopak, przeżywałem Katyń w marzeniach. Wyobrażałem sobie jakiś statek płynący po jeziorze. Ze statku wrzucano do wody żywych ludzi z kamieniami u nóg. Ludzie ci tuż pod wodą formowali szyki i tak umierali na stojąco. Plakat z czaszkami przypominał mi mój pobyt na kolonii w 1937 roku. Leżeliśmy na ogólnej sali do spania. Noc była piękna. Pamiętam czerwonawy księżyc, który wschodził za rzeką i świecił prosto w nasze okna. Pogoda wcale nie nasrajała do spania. Dzieci więc baraszkowały na łózkach. W pewnej chwili kres baraszkowaniu położyła wychowawczyni. Straszła niegrzeczne dzieci bolszewikami. Koś zapytał, kim są bolszewicy. Odpowiedziała: „To tacy straszni brodacie ludzie z nożami w zębach i zakrwawionymi rękami”. Teraz obraz „bolszewika” skojarzył mi się z treścią propagandowych plakatów. Prawdziwi bolszewicy przyszli później. Witaliśmy ich jak wyzwolicieli.

Po pewnym czasie o Katyniu przestano mówić. Dramaty bliższe zdarzały się co dzień. Pewnego dnia od ulicy Mokrej słychać było pojedyncze strzały. Ich odgłos zbliżał się do ulicy Słonecznej. Dorośli czujnie wyglądali przez okna, a dzieci siedziały cicho w domu. Z opowieści wiem, że w pewnej chwili na pole od ulicy Trockiej wbiegło dwóch mężczyzn. Uciekali. Za nimi, jakieś 80-100 metrów biegło kilku żandarmów. Strzelali często, ale nie dość celnie. Jeden z mężczyzn dopadł wykrotów i nimi pobiegł w kierunku Gilarskiej. Zniknął Niemcom z oczu. Drugi nie zdążył. Kula trafiła go 50 metrów przed naszym domem. Padł na miejscu. Po kilku minutach zapanował spokój. Wyszliśmy na ulice. Obok zabitego stał jeden żandarm i „granatowy”. Ten ostatni wyjaśnił, że zabity to bandyta, który brał udział w jakimś napadzie na niemieckie obiekty wojskowe.

Rok 1943 to okres największego głodu, zwłaszcza w miesiącach przednowkowych. W tym roku nie wyjeżdżałem na wakacje. Wędrowałem więc po Warszawie od jednej ciotki do drugiej, od jednego stryjka na Mostowej do drugiego na pi. Żelaznej Bramy. Prawdziwą frajdą były dla mnie wyprawy na Okęcie. Naprzeciw zakładów lotniczych mój chrzestny ojciec miał sklep rzeźniczy z wyszynkiem. Swoje interesy prowadził przy stoliku i robił wrażenie dobrze podpitego. Ile razy tam zaszedłem, zawsze zastawałem go w towarzystwie przy tym samym stoliku. Zawsze to były wycieczki piesze z jednego końca Warszawy na drugi. Szedłem ulicami Radzymińską, Żąbkowską, Targową, Zieleniecką przez Most Poniatowskiego i dalej Alejami Jerozolimskimi i Grójecką, Grójecką, Grójecką. Nie wiem, czy ta część ulicy, która dochodziła na Okęcie, nazywała się wtedy aleją Krakowską. Czasami dojeżdżałem kilka przystanków tramwajem na buforze lub na „cycku”. Ta podróż zabierała mi zwykle 4-5 godzin w jedną stronę. Poniesiony trud wynagradzała mi kuchnia. Jadłem do syta, a odchodząc, dostawałem węzełek do domu.

Nauka historii i geografii

Rok szkolny 1943/1944 rozpocząłem naukę w czwartej klasie. W dalszym ciągu podstawowym podręcznikiem do nauki języka polskiego było czasopismo „Ster”, podobne do dzisiejszego „Płomyka”. Było to pismo niemieckie wydawane dla polskich szkół. W programie nauki nie było historii i geografii. Tych przedmiotów uczyliśmy się w sposób konspiracyjny. Zaczęń od książek. Przypominam sobie, że były dość grube i w miękkiej, jasnej oprawie. Na początku września 1943 roku nauczyciel matematyki

pan Grabowski zorganizował zaopatrzenie naszej klasy w książki. Wybrał czterech chłopców, w tym i mnie, i w oznaczonym czasie mieliśmy przyjść do jego mieszkania przy ulicy Wileńskiej. Ja w parze z moim kolegą szkolnym Tadeuszem Zdrojewskim przyszedliśmy trochę wcześniej. Mama pana Grabowskiego poczęstowała nas herbatą i jakimiś ciasteczkami. Za kilka minut przysła następna para. Pan Grabowski dokładnie wyjaśnił nam, jak mamy się zachowywać w razie wpadki. Za nic w świecie nie mogliśmy wydać, skąd mamy te książki. Nawet gdyby nas krajano. Przyrzekliśmy. Następnie zagrał nam na pianinie jakąś „zakazaną piosenkę” i zaprowadził do piwnic domu. W jednej z nich były sterty paczek opakowanych szarym papierem i związanych sznurkiem. W każdej z paczek było po 18 książek. Każdy z nas dostał po jednej paczce i po sprawdzeniu, czy pamiętamy, jakimi ulicami mamy iść i jak się zachować, wyprowadził nas z piwnicy. Książki były ciężkie i źle zapakowane. Papier się darł, a i sznurek okazał się słaby. Przecież mogliśmy wziąć z domu tornistry albo jakieś worki. Ale trudno. Za torami paczka rozleciała się Tadeuszowi, a potem mnie. Staliśmy bezradni nad kupą książek. Jakiś starszy człowiek, widząc nasze nieszczęście, postanowił nam pomóc. Zebraliśmy książki, a on przyniósł z działek jakieś płachty. Zrobił nam węzłki i wysłał w dalszą drogę. Idąc ulicami Targówka była mała szansa spotkania niemieckich żandarmów. Jeden patrol przeszedł koło nas, ale nawet nie zwrócił na nas uwagi. Zresztą schowaliśmy się w bramie. Po dwóch godzinach dotarliśmy do szkoły, gdzie czekał już na nas pan Grabowski. Pochwalił za dobrą robotę.

Następnego dnia rozdano nam książki. Pani od polskiego nauczyła nas, jak zachować się w razie niespodziewanego wejścia do klasy obcego. Mieliśmy błyskawicznie schować książki pod ławki i pilnie czytać po cichu rozłożone „Stery”. Część każdej lekcji poświęcona była bądź to na naukę historii, bądź to geografii. Ocen na świadectwach za te przedmioty nie było. Zresztą dokładnie nie wiem, bo nigdy nie otrzymałem świadectwa z czwartej klasy. Z przyczyn obiektywnych.

U obcych

Od jesieni 1943 roku robiliśmy zapasy na zimę. To, co można było gdzieś „zdobyć”, przynosiło się do domu i do piwnicy. Szosą radzywińską przejeżdżały często transporty z torfem lub ziemniakami. Samochody lub furmanki jechały wolno. Doganialiśmy je i specjalnymi kijami z hakami ściągaliśmy brykiety torfu lub ziemniaki. Kierowcy lub woźnice najczęściej tego nie zauważali. Następnie zbierało się łupy i czekało na następny transport. W ten sposób zaopatrywaliśmy z bratem dom w opał na kilka miesięcy.

W wyniku łapanek rozpadła się nasza rodzina. Ojcu jakoś się udawało, ale wujkowie wylądowali gdzieś w niemieckich obozach koncentracyjnych.

Zimą jakoś przetrwaliśmy. Przyszła wiosna. Matka w obawie przed głodem postanowiła wysłać nas do pracy w charakterze pastuchów u chłopów. Brat pojechał do gospodarza w Radzyminie, natomiast ja trafiłem do państwa Szymańskich we wsi Kamionka, 2 kilometry od Mszczonowa. Za pasienie krów miałem dostać cztery korce ziemniaków i trochę mąki. Na początku maja 1944 roku przerwałem więc naukę i udałem się na wieś. Państwo Szymańscy nie byli rolnikami. Pan Stefan zajmował się handlem bydłem, a jego żona opiekowała się dziećmi i prowadziła dom. Krowy, które pasłem, ciągle się zmieniały. To już nie to, co u państwa Roguskich. Wyganiałem krowy skoro świt i przygarnąłem późnym wieczorem. Łąka była niewielka, otoczona polami uprawnymi. W ciągu dnia musiałem się dobrze nabiegać. I tak świątek piątek.

Pan Szymański dzierżawił również sady wiśniowe i jabłkowe. W czasie zbiorów wszyscy wchodzili na drabiny i rwali owoce. Pod wieczór przyjeżdżali hurtownicy.

W połowie lipca pan Szymański wysłał mnie do pracy w dużym sadzie gdzieś w okolicach Piekar. Pomagałem tam panu Jankowi, bratu pani Szymańskiej, w pilnowaniu sadu i zbieraniu owoców. Pan Jan, cierpiący na astmę, był człowiekiem wyjątkowej dobroci. Od samego początku traktował mnie przyjaźnie, a i ja się do niego przywiązałem. Sad położony był na pustkowiu. Z jednej strony rozległe łąki, z drugiej lasy. Na łąkach byli zawsze jacyś niemieccy żołnierze. Było słyhać jakieś strzały. Być może mieli tam polową strzelnicę. Pan Jan powiedział mi, że Niemcy są tu dlatego, że w lesie przebywają partyzanci. Byłem bardzo ich ciekaw, ale pan Jan zabronił mi oddalać się od sadu. Mówił, że to niebezpieczne. Wiezorami dochodziło z lasu rzenie koni, nawoływania i inne dźwięki świadczące, że są tam ludzie.

Partyzanci przyszedli do sadu sami. W biały dzień. Siedziałem wtedy na drzewie i zbierałem do kosza jabłka „raczki” (tak je nazywano). Usłyszałem tętent koni i po chwili między drzewa wjechało 10 żołnierzy. W polskich mundurach, w butach z cholewami, pasy, szable, karabiny. Konie wyczyszczone i błyszczące. Jeden z żołnierzy zauważył mnie i krzyknął: „Mały, masz tam jakieś dobre jabłka?”. Miałem „raczki”. Zszedłem z drzewa i podawałem je jeźdźcom. Byłem zachwycony ich widokiem. Pewni siebie i silni! Po chwili dołączyła do grupy trójka jeźdźców, którzy obserwowali ćwiczenia Niemców na łące. Coś tam powiedzieli, wzięli jabłek na drogę i wrócili do lasu. Potem ślad po nich zaginął.

W sadzie byłem do 20 sierpnia. Wróciłem do wsi i miałem się szykować do powrotu do domu z dniem 1 września. Jednak będąc w sadzie nie wiedziałem, co się dzieje na świecie. Wprawdzie od strony Warszawy widać było ciemne chmury dymu, ale pan Jan mówił, że to jakaś zbombardowana fabryka się pali. Dopiero pan Szymański powiedział mi, że nie ma powrotu do domu. W Warszawie wybuchło powstanie, a przez Wisłę na Pragę nigdzie się nie przejdzie bo tereny po drugiej stronie zajęte są przez Rosjan.

Zaniepokoiłem się tą wiadomością. Bardzo tęskniłem do swoich i gdybym mógł, leciałbym na skrzydłach. Tymczasem wróciłem do pasienia krów. Powiedziano mi, że dopóki nie będzie przejścia na Pragę, zostaną u nich. Cóż miałem robić. Dni były coraz krótsze, więc krowy z pastwiska przyganiałem wcześniej, miałem więcej czasu dla siebie. Jakies 1000 metrów od zabudowań moich gospodarzy przebiegała szosa Grójec – Żyrardów. Przy bramie wjazdowej rosły dwa potężne kasztany. Wdrapałem się na jeden z nich i dopiero wtedy miałem szerokie pole obserwacji. Wzgórze swoim stokiem sięgało szosy. Za szosą aż do samej linii horyzontu równina. Jakies dwa-trzy kilometry od nas widać było świeżo wykopane rowy przeciwczołgowe. W dzień można było zobaczyć tam też kopaczy. Zresztą dobrze wiedziałem, jak wyglądają okopy, ponieważ pan Szymański wysyłał mnie kilka razy do kopania zamiast siebie. Dużo nie nakopałem. Było błotnisto, a i szpadel wyjątkowo ciężki. Pilnujący nas Niemcy jakoś przymykali oko na moje objanie się i nie wyznaczali mi odcinka roboty.

Siedząc na kasztanie obserwowałem teren. Jakies dwa kilometry z lewej strony zaczynały się zabudowania Mszczonowa. Na rynku tego miasta mieszkali zaprzyjaźnieni ze mną chłopcy Dymeccy. Ich ojciec miał tam sklep z przyborami szewsko-cholewkarskimi. Jak już zaznaczyłem przed sobą miałem dalekie pole obserwacji. Siedziałem na gałęzi jak pierwotny człowiek i patrzyłem w ciemne chmury horyzontu. W pogodne wieczory wydawało mi się, że wśród kłębow dymu widzę buchające jęzory ognia. W nocy niebo nad Warszawą rozświetlała różowa poświata pożarów. Myślałem wtedy o moich najbliższych. Tęskniłem do matki. Już zapominałem o „dyscyplinie” i batach. Brakło mi ojca i jego opowiadań o świecie na dobranoc. Brakło mi brata, z którym często toczyliśmy boje o różne sprawy. Brakło mi siostry Teresy, która starała się nas pogodzić mówiąc: „Przestańcie, bo powiem mamie”. Brakło mi ulicy. Słonecznej na Pradze i Bugaju na Starym Mieście.

Z drewna najczęściej ściągało mnie czyjeś wołanie: „Ardek, przynieś drzewa”, „Ardek! Przynieś wody”, zrób to, pójdz tam... itd. Po kolacji szedłem spać do swojego legowiska. Mieściło się ono w oborze. Była to przyca umieszczona nad kojcem ze świniami. Na swoją przycę wchodziłem po drabinie. Była wyłożona grubo słomą i przykryta jakąś płachtą. Do przykrycia się miałem koc. Na noc gospodarze zamykali mnie wraz ze zwierzętami na kłódkę. Otwierano o świcie. Legowisko było wygodne i po pewnym czasie się do niego przyzwyczaiłem.

Gdzieś pod koniec sierpnia ściągnęła z Warszawy siostra pani Szymańskiej z dwiema córkami. Mieszkały na Słonecznej tuż obok nas. To ona załatwiła mi tę pracę. Opowiadała, że na wieść o wybuchu powstania zabrała dzieci i okreśną drogą dotarła do Kamionki. Podróżowali ponad dwa tygodnie. O moich bliskich niewiele wiedziała.

Na początku września do wsi przybyli uciekinierzy i wysiedleni z Warszawy. Do Szymańskich sołtys przydzielił panią Dąbrowską z córką Krystyną. Dąbrowska była żoną oficera, który przepadł gdzieś na wojnie. Niemcy wysiedlili je po zdobyciu Sadyby z osiedla oficerskiego. Przyszły bardzo elegancko ubrane, z walizeczkami. Widać zabrały z domu, co najlepsze, choć mało przydatne w czasie nadchodzących słoń i srogiej zimy. Krysia była moją rówieśnicą. Wydawała mi się bardzo ładna. Rude włosy, piwne oczy. Delikatna. Ładnie się uśmiechała. Mówiła cicho i spokojnie. Natomiast jej mama mówiła bez przerwy. Dużo rozmawiałem z Krysią na temat powstania i Warszawy. Mówiła o zniszczeniach i odgłosach walk. Sama niewiele widziała, bo matka nie pozwalała jej wychodzić. Niemcy wygarnęli je z domu brutalnie. Były już przygotowane do drogi i dlatego miały na sobie najlepsze rzeczy i spakowane walizeczki. Opowiadała o zniszczeniach, pożarach i trupach ludzi leżących na mijanych ulicach. Opowiadała o obozie w Pruszkowie, skąd przewieziono je pociągiem do Żyrardowa, a stamtąd podwodami chłopskimi rozwożono je po wsiach. Opowiadała też o ojcu, którego nie widziała od lata 1939 roku. Jak mi po latach powiedział red. Maciej Piekarski, kiedy dedykował mi swoją książkę „Samotna placówka”, ojciec Krysi zginął w Katyniu, ona zaś sama zmarła kilka lat temu. Lubiełem z Krysią rozmawiać. Była ode mnie mądrzejsza. Ukończyła szóstą klasę, a ja nie dokończyłem czwartej. Za to ja miałem więcej doświadczenia życiowego. Lepiej radziłem sobie w sytuacjach stresowych. Ona opowiadała mi o szkole, o swoim warszawskim życiu, ja uczyłem ją, jak żyć na wsi. Pokazywałem jej zwierzęta domowe. Krysia po raz pierwszy zobaczyła świnię, konia z bliska czy owcę. Zdziwiła się i bardzo mi współczuła, widząc moje legowisko. Nauczyłem ją rozróżniać ziarna zbóż i inne rośliny uprawne, ale czasu na przebywanie z nią miałem mało. Matka organizowała jej zajęcia szkolne, aby po powrocie do domu miała jak najmniej zaległości.

Bolszewicy przyszli wieczorem. Było już ciemno, kiedy przyszedłem do domu po załatwieniu jakiejś sprawy we wsi. Za domem czekał pies, co zdarzało się rzadko. Czuję obcych. W obejściu nie zauważyłem żadnych ludzi. Poszedłem przez ciemny korytarz do izby kuchennej. Było to duże pomiesz-

czenie służące za kuchnię, pracownię krawiecką (jeden z braci p. Szymańskiej był krawcem) i sypialnię pana Jana. W kuchni spała też „Babcia”, mama pani Szymańskiej bardzo miła, starsza pani, która starała się dbać o moja duszę. Jej łóżko stało pod ścianą na tej samej stronie co łóżko pana Jana. Między łóżkami stał ogromny kufer. Na nim było moje stałe siedzenie. Gdy przebywałem w domu, to tam siadywałem, aby nie przeszkadzać domownikom.

W domu zastałem kilkunastu ludzi. Mój kufer też był przez nich zajęty. Za stołem siedziało trzech obcych i pan Szymański. Rozmawiali. Reszta mężczyzn drzemała. Tylko jeden stał i trzymał w ręku pistolet maszynowy. Z prawej strony oparta o ścianę stała broń. Po raz pierwszy zobaczyłem ręczny karabin maszynowy z lejkiem na lufie i potężnym talerzem, pistolety maszynowe z dużymi bębnowymi magazynkami i karabiny z przymocowanymi do lufy bagnetami. Wszystko lśniące, zachwycające oczy. Po powiedzeniu wszystkim „dobry wieczór” podszedłem do broni i długo się jej przyglądałem. W pewnym momencie usłyszałem rozmowę:

– A eto kto?

– To chłopiec z Warszawy. Pracuje u nas. Pilnuje krów.

Ten stojący podszedł do mnie i bardzo śpiewnie, ale zrozumiale zaczął mnie wypytywać o to, skąd się tu wzięłem, co tu robię, gdzie byłem. Pytał też, czy znam drogi. Następnie dał mi do potrzymania pepeszę i karabin. Były ciężkie. Pan Szymański coś tam dyskutował przy stole. Potem wstał, poszedł do pokoju. Wrócił z plikiem pieniędzy. Dał je siedzącemu za stołem. Ten przeliczył i wręczył panu Szymańskiemu jakiś papier. Było to pokwitowanie pobranych pieniędzy, wystawione przez dowódcę radzieckiego oddziału partyzanckiego. Tej nocy ze mną na pryczy spał jeden z partyzantów. Obudzili nas nad ranem. Ten śpiewnie mówiący powiedział mi, bym poszedł do wsi i sprawdził, czy nie ma tam Niemców. Poszedłem. Następnie polnymi drogami wyprowadziłem oddział do lasu. Okazało się, że partyzanci byli jeszcze w innych chatkach na skraju wsi.

Zima przysła szybko. Spadł obfity śnieg i mróz też był siarczysty. Coraz rzadziej przesiadywałem na swoim punkcie obserwacyjnym. Natomiast coraz częściej nasłuchiwało się pomruków wojny. Słysząc było coraz wyraźniej przeciągłe dudnienie kanonad artyleryjskich. Ludzie we wsi mówili, że niedługo Niemcy zostaną pobici i wkroczą Rosjanie. Mówili, że z Rosjanami idą też żołnierze polscy. Ale kto tam ich wie, może tylko Ruscy przebrani za Polaków? Tak mówili. Słuchaliśmy tego dudnienia i staraliśmy się wywnioskować, jak daleko jeszcze jest front. Ale terror niemiecki nie malał. Gdzieś pod koniec grudnia do wsi zjechała żandarmeria. Obstawili wieś i drogi. Wchodzili do zagrod i zabierali bydło, świnie, drób i mąkę. We wsi spalono jedną stodołę i zastrzelono kilku opornych gospodarzy. Ponieważ nasza zagroda stała na uboczu i od reszty wsi osłonięta była sadem, mieliśmy z panem Szymańskim trochę czasu. Przez pola i łąkę wyprowadziłem dwie krowy, a pan Szymański parę koni. Po jakimś czasie Niemcy zabrali świnie i owce. Krowy i konie uratowaliśmy.

W pierwszej połowie stycznia walec wojny przetoczył się przez naszą wieś i Mszczonów. 17 stycznia w nocy kanonada zaczęła narastać. Pociski rwały się w pobliżu zabudowań. Byłem śmiertelnie przerażony. Zamknięty na kłódkę wyobrażałem sobie, co by się stało, gdyby zapalił się słomiany dach obory. Zacząłem walić w drzwi i krzyczeć. W końcu ktoś mnie usłyszał. Otworzył drzwi. W domu panował ruch. Widać od dawna szykowali się do ewakuacji. Dzieci otulone w różne ubrania i kołdry siedziały już w piwnicy. Było bardzo zimno. Ja dołączyłem do nich. Czekaliśmy. Gdzieś we wsi zapalił się dom, paliły się też jakieś zabudowania folwarczne i słychać było, znane mi z września 1939 roku, wybuchy pocisków odłamkowych. Było jeszcze ciemno, gdy od szosy Grójec – Żyrardów usłyszeliśmy zgrzytający szum. Chciałem wejść na drzewo i zobaczyć, ale pan Jan nie pozwolił. Powiedział, że to na pewno czołgi. Przeszły jak burza, a potem nastąpiła cisza. Wybuchy przesuwwały się w kierunku Żyrardowa. Pozwolono dzieciom wyjść z piwnicy. Ogień w palących się zabudowaniach już dogasał. Zobaczyłem czarne wyrwy w ziemi po pociskach. Kontrastowały z białym śniegiem. Nieopodal stodoły obok leja po pocisku leżały rozrzucone trzy trupy niemieckich żołnierzy. Wszyscy się dziwili, skąd oni się tu wzięli. Ale teraz po nocnym piekle panowała niezmacona cisza. Dzień zapowiadał się słoneczny i mroźny.

Drugie piekło zaczęło się około godziny 13. Przez wieś gruchnęła wiadomość, że zbliżają się do nas polnymi drogami rozbite oddziały niemieckie. Gdzieś po godzinie przyszli. Pan Jan, który miał za zadanie opiekować się dziećmi, powiedział, że to „Kałmuki”. Wpadli do zagrody zarośnięci i brudni. Z bronią gotową do strzału. Gotowi zabić każdego, kto by się im w czymś sprzeciwił. Zabrali chleb i kilka kur, które udało im się złapać. Szukali świń, ale tych już nie było, bo ich niemieccy koledzy zabrali je w grudniu. Następnie przeszedł jakiś tabor ciągniony przez konie. Ci z kolei wpadli do obory w poszukiwaniu koni. Jednak pan Szymański wcześniej ukrył je w lesie. Po przejściu „Kałmuków” zatrzymał się na krótko jakiś oddział artylerii przeciwpancernej, a po nich szła piechota. Duży śnieg nie pozwalał im iść w szyku. Rozbitkowie niemieccy ciągnęli przez całą noc. Jeszcze następnego dnia rano mniejsze oddziały przechodziły przez wieś. Starsi mówili, że to ich ostatni żołnierze i że teraz czekamy na Rosjan. Nastąpiło bezkrólewie. Niemcy odeszli – Rosjan jeszcze nie ma. Czuliśmy się już wolni. Bez strachu, że żandarmi otoczą zagrodę i zabiorą ludzi i zwierzęta. Było w tym coś podniecającego.

W ten niezwykle gorący dzień ja przeżyłem swoistą przygodę. Wieczorem, już po przejściu „Kałmuków”, poszedłem do obory spać. Było ciemno. Wgramoliłem się na prycę i czuję, że ktoś mnie złapał i zatkął mi usta, abym nie krzyczał. Zamarło we mnie serce, a strach sparaliżował. Słyszałem tylko uspokajające słowa, abym był cicho. Po pewnym czasie mężczyzna, który mnie trzymał, zluzował uścisk i odetkał mi usta. Było ciemno, więc nie widziałem, jak wygląda. Jednak z gestów wynikało, że mam być cicho i nic nie mówić. Byłem. Tej nocy spałem zamknięty z nieznanym. Spałem? Trudno to nazwać spaniem. Bałem się tego człowieka. On musiał być bardzo zmęczony, bo spał jak zabity. Rano przy nikłym świetle poranka zobaczyłem, że człowiek ten ma niemiecki mundur. Obudził się wcześniej i coś mi tam mówił, ale ja go nie rozumiałem. Gdy ktoś otworzył drzwi obory, on ostrożnie wyszedł. Miał na sobie zielony niemiecki mundur i podobny był do pozostałych „Kałmuków”. Gospodarzom wyjaśnił, że jest dezertorem z armii niemieckiej i prosił ich o pozwolenie pozostania, aż do przyścia Rosjan do wsi. Pozwolili. Spał ze mną jeszcze dwie noce. Bałem się go mniej, ale nie byłem zadowolony z udzielonej mu gościny.

Bezkrólowie trwało dwa dni. Dopiero 20 stycznia polnymi drogami zaczęła iść rosyjska piechota. W kufajkach, butach z cholewami z filcu, w czapkach uszankach z maleńkimi, czerwonymi gwiazdami, z sierpem i młotem w środku. Byli zmęczeni, ale przyjaźni. Uśmiechali się do ludzi ich witających i szli, i szli bez przerwy przez dwa lub trzy dni.

Mój dezerterski zgłosił się do jakiegoś oficera, który stanął u nas na kwaterze. Widziałem, że coś tam mu tłumaczył. Potem jeszcze był ze dwa dni i tyle go widziałem. Zostawił mi w spadku kurtkę niemiecką koloru feldgrau.

Od żołnierzy rosyjskich dowiedzieliśmy się, że Warszawa jest wolna. Mogłem więc wracać do domu. Pani Dąbrowska z Krysią wyruszyły pod koniec stycznia. Prosiłem, aby zabrały mnie z sobą, ale matka nie chciała. Zwróciłem się do pana Szymańskiego z prośbą o odstąpienie do domu. Powiedział, że w tych dniach pojedzie do Warszawy jakiś mężczyzna i siostra pani Szymańskiej, aby zbadać sprawę. Siostra pani Szymańskiej mieszkała koło nas, więc uznałem to za dobry pomysł, tym bardziej że jej córki też zostały na wsi. Pojechali. Wrócili po tygodniu. Czekałem na nich jak na zbawienie. Przywieźli mi przerażającą wiadomość. „Wasz dom rozbity, rodzice twoi nie żyją”. Płakałem dwa dni, a i później też popłakiwałem. Pan Jan w tych dniach otaczał mnie szczególną opieką. „Zostaniesz z nami. Na wiosnę pójdziesz do szkoły, a potem może znajdą się jacyś twoi bliscy”. Nie miałem większego wyboru. Była sroga zima i 50 kilometrów drogi do Warszawy. Zostałem.

Wiosna w tym 1945 roku przyszła jakoś wcześniej. Było ciepło. Szybciej zazieleniły się łąki i drzewa. W naszej zagrodzie dość często zatrzymywali się na odpoczynek radzieccy żołnierze z kolumn samochodowych. Chętnie z nimi przebywałem. Dowiadywałem się od nich wielu ciekawych rzeczy o wojnie. Raz jechał z nimi chłopak w moim wieku. Mówili, że to ich „syn pułku”, sierota, któremu Niemcy wymordowali całą rodzinę. Żołnierze mówili, że idą na Berlin. Chciałem z nimi pojechać, ale nie chcieli mnie wziąć.

Któregoś pięknego dnia kwietniowego siedziałem na swoim drzewie i spoglądałem w kierunku Warszawy. Myślałem o rodzinie. Pomyślałem sobie, że na pewno z tak licznej rodziny ktoś żyje, że odnajdę którąś ciotkę lub wujka. Chciałem jak najszybciej znaleźć się w Warszawie. Decyzja zapadła błyskawicznie. Idę. Zszedłem z drzewa i nikomu nic nie mówiąc poszedłem do drogi na wzgórzu, a następnie polami. Przeciąłem drogę Grójec – Żyrardów i dalej polami przez nieprzydatne Niemcom rowy przeciwczołgowe do szosy warszawskiej. Przede mną prawie 50 kilometrów drogi. Przez pierwsze kilka godzin tempo miałem duże. Potem zmęczenie dawało znać. Już słońce zachodziło, gdy zapukałem do jakiejś chałupy. Otworzyła mi młoda kobieta. Poprosiłem ją o nocleg. Długo mi się przyglądała i wypytywała. W końcu dała mi kubek mleka i pajdę chleba i wskazała ławkę pod piecem przykryta kożuchem. Rano czekał na mnie już ten sam kubek z mlekiem i chleb. Dostałem też coś na drogę. Podziękowałem i poszedłem dalej. Około południa dotarłem do Raszyna, a pod wieczór na Okęcie do mojego chrzestnego. Sklep był cały, a wokół niego ruch. Serce zabiło mi mocniej. Wszedłem. Za ladą stała żona chrzestnego. Poznała mnie i ucieszyła się, że żyję. W sklepie panował duży ruch, więc kazała mi iść na zaplecze. Tam, ku mojej radości, spotkałem dwie ciotki. Powitały mnie jak powracającego z wojny. Jedna z nich przerwała pracę i zaprowadziła mnie do swojego mieszkania w Opaczy. Radości było wiele, gdy tam spotkałem swoją siostrę Teresę. Przeżyła powstanie wraz z jedną z ciotek na ulicy Grzybowskiej w Warszawie. Po powitaniach opowiedziały mi o rodzicach. Żyją! Mieszkają nadal na Słonecznej. Ucieszyłem się aż do łez. W kilka miesięcy później zapytałem siostrę pani Szymańskiej, dlaczego mnie okłamała. Powiedziała, że ona wtedy nie była na Słonecznej, tylko ten mężczyzna, który z nią pojechał. Zobaczył rozbity dom, w którym ona mieszkała, i taką zdał jej relację, myśląc, że to dom moich rodziców.

Na Słoneczną poszedłem pod koniec kwietnia. Ciotki postarały się o jakieś ubranie i buty dla mnie. Poradziły, abym kilka dni poczekał, bo przeprawy na Wiśle są niepewne. W międzyczasie zrobiłem jedną wycieczkę na Bugaj. Ciotka tam wywiesiła kartkę z wiadomością: „Żyję. Jestem u ciotki Wikty. Jadzia”. Chciałem sprawdzić, czy nie ma innych wiadomości. Szedłem dobrze mi znaną trasą. Grójecka

zrujnowana. Aleje Jerozolimskie mniej, ale też w gruzach. Marszałkowska w gruzach. Na tych ulicach panował jednak jakiś ruch. Zwłaszcza na Towarowej, gdzie już działał dworzec kolejowy. Pustynia zaczęła się od placu Bankowego, a nawet trochę wcześniej od Ogrodu Saskiego. Nie spotkałem tam ani jednego człowieka. Przeszedłem obok zrujnowanego Arsenału do ulicy Długiej. Skręciłem w ulicę Barokową. Z mojej szkoły została kupa gruzów. Idąc dalej, doszedłem do Franciszkańskiej. Cała ulica spalona. Tylko dom pod numerem 14 częściowo zburzony. Widać było, że tam gdzie można ludzie urządzili mieszkania. Szedłem dalej do Freta. Na rogu Freta i Franciszkańskiej olbrzymi lej po bombie. Na jego dnie trochę wody, a w niej dwa ludzkie szkielety obciążone jakimś ubraniem. Kościół Franciszkanów wytrzymał, ale też poważnie uszkodzony robił smutne wrażenie. Na Nowym Mieście tylko klasztor Sakramentek się ostał. Poza tym wszystko w gruzach. Okrągły kościół spalony. Zajrzałem do środka. Cała kopuła sufitu zawalona. Wybudowany przez Niemców zbiornik przeciwpożarowy na środku rynku – pełen wody. Walają się w nim jakieś meble i inne sprzęty oraz szczątki ludzkie odziane w gnijące szmaty. Zgliszczą, bezludzie, cisza aż przeraża i krzyże, krzyże, krzyże. Na niektórych tabliczki z nazwiskiem i datą śmierci. Na innych przywiązany hełm. Dużo mogił bezimiennych. Poszedłem ulicą Starą do Mostowej. Szkoła zburzona. A Mostowa zrobiła na mnie przygnębiające wrażenie. Kiedyś pełna żydowskich sklepików, tanich restauracyjek i barwnego tłumu ludzi – dziś cicha, spalona i zrujnowana. Zawalone ściany zasypały dość szerokie chodniki. Szło się środkiem jezdni po kupach gruzu. Wszędzie mogiły. Zajrzałem pod nr 6. Wszystko spalone do samej piwnicy. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że w piwnicach tego domu zasypana została rodzina mojego stryjka. Róg Rybaków, Bolesć, Bugaja i Mostowej wymarły. Spalona Stara Prochownia. Zostały tylko jej potężne czerwone mury i resztki barykady. Dalej na Bolesć zburzona fabryka barwników, natomiast stajnie spalone. Rybaki, jak okiem sięgnąć, zburzone. Z dała widać potężne bloki budowanego przed wojną hotelu dla Polonii amerykańskiej. Potężne żelbetonowe konstrukcje rozbite bombami i artylerią. W rok później ojciec w gruzach jednego z tych budynków znalazł bezpieczną ścianę i wybudował tam mieszkanie.

Bugaj spalony. Tylko ostał się potężny budynek pod nr 14. Ten, w którego podwórku w 1939 roku stała kuchnia polowa. Choć i on został w połowie przeorany przez jakiś potężny pocisk od strychu do samej piwnicy. Na terenie przedszkola szkielety zabudowań i groby. Wszędzie groby. Budynek pod nr 19 spalony doszczętnie. Została tylko ściana czołowa. Pozostałe budynki zburzone, spalone i zawalone. Na ścianach dużo wywieszek. Ten, kto przeżył, informował tych, których zawierucha wojenna gdzieś rzucała. Znalazłem też informację mojego ojca. Informowała, że żyją i mieszkają na Targówku. Pani Kozłowska z Heńkiem informowała, że mieszkają gdzieś na Koziej. Interesował mnie zwłaszcza los mojego przyjaciela Tadka. Później w 1946 roku spotkałem na ulicy Kościelnej jego brata Edka. Z początku nie poznałem go. Szedł o kulach. Nie miał jednej nogi, a i ręce miał porządnie pokiereszowane. Staliśmy przy zrujnowanym kościele NMP na skarpie. Patrzyłem na niego, a żal ścisnął mi serce. Edek powiedział mi, że Tadeusz zginął na Bolesć podczas strzału z pancerfausta. Rozerwał mu się w rękach. Miał 13 lat. Zawsze wydaje mi się, ilekroć patrzę na pomnik Małego Powstańca w fosie na Podwalu, że to Tadek. Tak na pewno by wyglądał.

Tymczasem szedłem Bugajem. Wstąpiłem na Kamienne Schodki. Po naszym dawnym mieszkaniu została tylko dziura w niebie. Po prawej stronie na podwórku dużo krzyży. Szedłem dalej do koszar na podzamczu. O dziwo! Koszary się ostały, choć świeciły dziurawymi oknami. Ostał się też domek sztabu. Wdrapałem się po gruzach na Kanonie. Zwały gruzu zawały wszystkie ulice. Szło się tak jak w górach po szczytach. Często skacząc z kamienia na kamień. Ominąłem ruiny katedry. Świętojańska prawie nie do przejścia. U wylotu do placu Zamkowego – barykada. Ulica cała zniszczona. Fasada domu przy nr 1 przywiodła wspomnienia. Latem 1943 roku wracałem z Bugaju do domu. Wybrałem drogę przez Rynek Starego Miasta, Świętojańską, plac Zamkowy i. Nowy Zjazd na most Kierbedzia. Lubilem tamtędy chodzić, bo była to trasa dość ruchliwa, a i przy kościele św. Anny łatwiej można było wskoczyć na bufor tramwaju, bowiem jadące z Krakowskiego Przedmieścia tramwaje miały do pokonania duży łuk i musiały zwolnić. Przechodząc koło bramy tego budynku, usłyszałem dwa strzały i po chwili, opierając się o framugę drzwi, zwałił się na schody jakiś mężczyzna. Trafiony został w głowę. Leżał na stopniach głową w dół i mocno krwawił. Z bramy wyszło dwóch mężczyzn. Jeden poszedł w kierunku Starego Miasta, a drugi na plac Zamkowy. Usłyszałem czyjś krzyk: „Uciekajcie, zaraz będą tu żandarmi”. Puściłem się pędem przez plac Zamkowy i nie czekając na tramwaj, pobiegłem wiaduktem do mostu Kierbedzia. Dziś idąc Świętojańską przypomniałem sobie to zdarzenie. Na placu Zamkowym szczątki spalonego Zamku Królewskiego. Drewniana kostka, którą pokryty był plac zerwana. Ulice wlotowe pozamykane barykadami. Zwalona kolumna Zygmunta i morze gruzów. Krakowskie Przedmieście rozbite. Jakiś przewrócony tramwaj, spalony autobus, połamane latarnie, zerwana sieć trakcyjna tramwajów. I pustka. Krzyże i groby i widmo tragedii ludzkich, jakie się tutaj rozgrywały. Ilu ludzi ginęło na barykadach osłaniających ulice wlotowe na Stare Miasto? Czuło się powiew śmierci, która kilka miesięcy temu przeszła tymi ulicami.

Było już późne popołudnie, gdy dotarłem na kolonię Opacz. Zdałem sprawozdanie z „wycieczki” i postanowiłem, że następnego dnia idę do domu.

Wyszedłem około 10. Koło południa dotarłem do mostu pontonowego, jedynej przeprawy przez Wisłę. Most znajdował się gdzieś w okolicach ulicy Karowej i na praskiej stronie wychodził na ulicę Brukową. Ruch odbywał się wahadłowo; raz w jedną, raz w drugą stronę. Przed mostem tłoczno, ale ruch kierowany przez żołnierzy przebiegał sprawnie. Po kładce dla pieszych trzeba było iść gęsiego. Na Pradze inny świat. Mniej zniszczeń, duży ruch. Idę znaną sobie drogą, czyli Targową, Ząbkowską i Radzymańską, przeciąłem tory kolejowe i na Targówek. Piotra Skargi, Handlowa, Mokra, Trocka. Z daleka widać Słoneczną. Rozbity dom Kramerowej na początku ulicy oraz samotnie stojący w polu domek. Ruiny domu, w którym mieszkała siostra pani Szymańskiej i spalona Biała Karczma.

Było piękne popołudnie. Ciepło i słonecznie. Raptownie zwolniłem kroku. Poczulem straszną treść przed spotkaniem z rodzicami i mieszkańcami domu. Wiedziałem, że w taką pogodę prawie cały dom wylega do ogródka i ludzie widzą, kto się do nich zbliża. Nie było innej możliwości. Musiałem iść. Szedłem przez pole noga za nogą. W pewnej chwili słyszę krzyk: „Pani Henszelowa! Ardek idzie!”. Koło domu zrobił się ruch. Pierwszy zauważył mnie Kazik Jędrusik. To on wydał ten okrzyk. Podbiegli do mnie sąsiedzi. Przybiegła też moja matka. Ojciec czekał na mnie w domu. Matka kilka razy wypowiedziała słowo „żyjesz”. Ojciec nic nie mówił tylko uściśkał. Był wzruszony. Cieszył się też mój brat Zbyszek. W kołysce zauważyłem małe dziecko. To Joanna, moja siostra. Urodziła się w czasie mojej nieobecności. Pytania i opowieści trwały do późnej nocy. Po powitaniu i postawieniu na stół jedzenia matka powiedziała mi, że musi gdzieś pilnie wyjść. Nie było jej ze dwie godziny. Po latach, gdy wspominaliśmy tamten dzień, ojciec wyjaśnił mi, dokąd wtedy poszła. W pamiętnym styczniowym dniu człowiek, który przyniósł mi wiadomość o rodzicach, trafił do naszego domu. Rozmawiał z matką. Powiedział jej, że przez wieś przeszła wojna i wielu ludzi w niej zginęło, w tym i ja. Ojciec miał się wybrać do Kamionki na poszukiwanie mnie w lato, a tymczasem matka na cmentarzu na grobie brata postawiła mi krzyżyk i tabliczkę. W dniu mojego powrotu poszła na cmentarz zlikwidować te znaki śmierci. Wiele razy zastanawiałem się, dlaczego ten człowiek wprowadził w błąd mnie i moich rodziców. Czy nie zdawał sobie sprawy, ile bólu nam zadaje? Przeszło – minęło.

Po dojściu do równowagi robiłem z bratem wyprawę do Warszawy. Ojciec pracował przy odbudowie gmachu Sejmu. W domu było co jeść.

Którejś niedzieli poszliśmy z ojcem na Franciszkańską 23. Na pierwszym piętrze (w 1939 roku) ojciec zamurował w kominie duże radio. Dom był spalony, ale do ściany był dostęp od strony korytarza. Ojciec wybił dziurę i wyciągnął zawinięte w szmaty radio. Zanieśliśmy je na Opacz. Po podłączeniu do kontaktu popłynęła jakaś melodia i słowa wypowiedane po polsku. Wszyscy płakali.

Pomału zaczęli wracać porozrzucani przez wojnę członkowie rodziny i znajomi. Ciotki: Zosia, Janka i Lusja z Mauthausen i Ravensbrück. Ciotka Zosia poddana była jakimś eksperymentom medycznym. Miała jeszcze świeże blizny na nogach. Nie wracali wujkowie. Bez wieści przepadł wujek Stefan i wujek Roman – mężowie moich ciotek. Jeden z wujków – Gieniek, wrócił jako żołnierz 19 Zgrupowania Piechoty Polskiej we Francji, a Zygmunt jako żołnierz Armii Andersa. Przetrzebiona została też rodzina mojego ojca. Na Słoneczną też powracali sąsiedzi. Pan Biernacki wrócił chory. Długo nie mógł przyjść do siebie. Wrócił Tadek Gotowicki. Witaliśmy się jak bracia, ale cóż z tego. Tadeusz przyjechał z obozu z żoną. Poznał ją gdzieś w Niemczech i tam się pobrali. Straciłem przyjaciela, ale cieszyłem się, że wrócił. Posmutniał, gdy się dowiedział, że zmarła jego starsza siostra Irenka. Natomiast starszy brat Kazika Jędrasika – Włodek wrócił jako podoficer Ludowego Wojska Polskiego.

We wrześniu 1945 roku poszedłem do szkoły. Zapisalem się do piątej klasy. Pytano mnie o świadectwo z czwartej. Powiedziałem, że gdzieś zginęło. Uwierzyli. Na dobrą sprawę mogli sprawdzić w aktach szkoły. Może nie chcieli? W piątej klasie języka polskiego uczył nas pan nauczyciel o nazwisku chyba Lewandowski. Już nie pamiętam. Na jednej z lekcji wezwał mnie do głośnego czytania jakiejś czytanki. Zaczęłem dukać. Nic nie powiedział. Kazał tylko nauczyć się czytać. Robiłem w domu, co mogłem. Następnego dnia wezwał mnie ponownie do czytania tego tekstu. Dukanie szło trochę lepiej, ale w porównaniu z innymi było fatalnie. Pan od polskiego kazał mi zostać po lekcji. Przeszedł do klasy i robił ze mną jakieś sprawdziany. Zostawałem z nim po lekcjach. Po ostatnim badaniu oznajmił mi, że nigdy nie nauczę się płynnego głośnego czytania. „W najlepszym przypadku będziesz się zacinał”. Następnie oznajmił mi, że nie będzie mnie wywoływał do głośnego czytania. Mam czytać po cichu i starać się zrozumieć tekst. Od tej pory moje oceny z języka polskiego i innych przedmiotów humanistycznych nieustannie rosły. Na koniec roku miałem czwarte miejsce w klasie i uważany byłem za dobrego ucznia. Niebawem! Zawdzięczam to panu Lewandowskiemu – mojemu nauczycielowi języka polskiego. Czy nie mogła tego dostrzec moja pani z pierwszej klasy? Po pewnym czasie dowiedziałem się, że jestem dyslektykiem, ale nauczyłem się z tym żyć.

Zakończenie wojny przeżyłem u ciotek. 9 maja 1945 roku usłyszałem huk armat idący od strony Warszawy. Zadrzało mi serce, ale po chwili na horyzoncie zajaśniały barwne pióropusze rac i sztucznych ogni. Ktoś włączył radio. Spiker podawał komunikat o kapitulacji Niemiec i końcu działań wojennych. Wszyscy w koło ściskali się i całowali. Słychać było płacz radości i bólu po utracie tych, którzy jeszcze nie powrócili.

W tym dniu najstarszy brat mojej mamy Stanisław Narkiewicz, któremu udało się uciec w 1944 roku z obozu w Gusen i zdążyć na powstanie warszawskie, zawyrokował: „Jedziemy na Ziemie odzyskane. Tu nie mamy domu i pracy. Tam jesteśmy potrzebni”. Pojechał w czerwcu do Miłakowa, a następnie do Morąga. Był pionierem na tych ziemiach. Ja dołączyłem do niego w rok później, ale to już zupełnie inna historia.